

magazyn

997

kryminalny

● Nr 12 (1979) ● 19 VI 1994 ● CENA 9000 ZŁ ●

- **ANTYTERRORYŚCI W AKCJI**
- **INTERPOL POSZUKUJE**
- **MILIARDOWI DŁUŻNICY**
- **ZAGADKA KRYMINALNA**
- **POLICYJNA SZKOŁA DLA MATURZYSTÓW**

zdj. Krzysztof Potocki

JAK ZABEZPIECZYĆ DRZWI PRZED ZŁODZIEJEM?

czytaj str. 6—7

**„Skrzywdzono mnie podczas weryfikacji.
Postanowiłem się mścić”.**

ESBEK, KOLARZ I PELETON

Nie była to kontrola przypadkowa. Policjanci z Wydziału Ruchu Drogowego KRP w Piotrkowie Trybunalskim byli przygotowani do działań według kilku, możliwych do przewidzenia, scenariuszy. Za najbardziej prawdopodobny uważali ten, który kilka minut później potwierdził się. Kierowca fiata 125p udawał, że poddaje się wezwaniu. Wcisnął, lecz tylko na chwilę. Będąc już w zasięgu rąk policjantów, wciągnął do dechy pedały gazu. Fiat zawył i skoczył do przodu.

Załoga poloneza ruszyła w pościg. Kilka ulic Piotrkowa Trybunalskiego stało się widowiskiem cyrkowej wręcz jazdy. Szaleńczy pościg trwał około piętnastu minut. Tyle czasu potrzebował kierowca fiata, by opuścić miasto. Ale pojął, iż na trasie szybkiego ruchu Warszawa—Katowice nie ma szans. Wyłączona maszyna dawała z siebie wszystko nie przekraczając 90 km/godz. Polonez, mimo obciążenia, mógł wydusić nawet 120 km.

Mając świadomość tego faktu, kierowca fiata zjechał na polną drogę. Porzucił auto i popędził w łan żyta. Tak samo zrobili funkcjonariusze piotrkowskiej drogowki. Użycie przez nich broni palnej okazało się zbędne. Uciekinier, czując na swym karku oddech policjantów, zatrzymał się i podniósł ręce. Założono mu kajdanki. Przeszukano go, w chwilę później — samochód. Mężczyzna nie miał broni.

Po przewiezieniu do KWP w Piotrkowie Trybunalskim powiedział, że jest Ukraińcem. Z paszportu wynikało, że zatrzymanym jest 23-letni Genadij N. Przyjechał do Polski przed rokiem i zamieszkał w Piotrkowie Trybunalskim. Aż do chwili zatrzymania przez funkcjonariuszy policji trudnił się handlem. Sprzedawał towar dostarczany mu przez wspólników i członków rodziny zza Buga. Zajęcie to przynosiło mu spore zyski, lecz Genadij szukał większych.

Może pozostałyby one w sferze marzeń, gdyby Genadij znalazł sobie inną kwatery. Właściciel tej, która nasunęła mu się jako pierwsza, chciał także szmalu, ale od razu wielkiego. Bratnie dusze znalazły więc wspólny język. Akces do tej spółki zgłosił wkrótce jeszcze dwie osoby: 39-letni Kazimierz B. — właściciel doskonale prosperującego baru i hurtowni, karany w przeszłości za nielegalne posiadanie broni,

oraz Stanisław G., sportowiec, kolarz, który sięgał po laury mistrza kraju.

Czterej panowie stworzyli grupę przestępczą, na czele której stanął prawdopodobnie jej organizator, były funkcjonariusz SB i MO w Bełchatowie — Mirosław M.

Potrzebna im była broń. Zdobyli ją bardzo szybko. M.in., o co są podejrzewani, w rezultacie napadu na wartownika Centrum Szkolenia Policji w Legionowie. Funkcjonariusze Wydziału Dochodzeniowo-Sledczego KWP w Piotrkowie Trybunalskim uważają, że w rękach bandyckiej grupy znalazło się kilka jednostek broni palnej, w tym: kbk, pistolet TT i sporo granatów.

Dysponując już odpowiednim uzbrojeniem, bandyci dokonywali brawurowych napadów. Podejrzewa się ich o: dwa skoki na stację CPN w Piotrkowie Trybunalskim, napad na konwojenta i rabunek miliarda złotych w Konstancynie Łódzkiej, uprowadzenie z parkingu w Podkonicach samochodu ciężarowego wraz z kierowcą (wyrzucony na trasie), który wiozł zagraniczne maszyny do pakowania przetworów mlecznych.

W działaniu bandytów nie było ofiar śmiertelnych, ale zdarzały się brutalne akty. Np. w woj. ostrołęckim, jako amatorzy jazdy autostopem, zostali zabrani przez jadącego samotnie kierowcę opła kadeta. Obezwładnili go podczas jazdy, wyprowadzili do lasu, przykuli do drzewa i odjechali. Tylko łut szczęścia uratował życie litościwemu kierowcy. Jego samochód nie został odnaleziony. Podobnie jak ciężarówka z maszynami do opakowań przetworów mlecznych.

Genadij wpadł pierwszy. Jego wyjaśnienia przyczyniły się w znacznym stopniu do likwidacji całej bandy. W rezultacie przemyślnych zasadzek funkcjonariusze piotrkowskiej policji zatrzymali wkrótce Kazimierza B. Podejrzewany o organizację gangu i przywództwo Mirosław M. dał się funkcjonariuszom zaskoczyć w swoim piotrkowskim mieszkaniu. Liczył, że zdoła wynieść różne kompromitujące go przedmioty, które

byłyby znalezione przez policjantów podczas przeszukania.

Nie otworzył na wezwanie. Gdy policjanci wyważyli drzwi, ujrzeni go stojącego za stołem z granatem w ręku. Między palcami lewej dłoni zwiślała obnażona zawleczka.

— Sam zgine, ale i was rozp... — powiedział chłodno, naciągając sznuerek zawleczki granatu. Policjanci liczyli się z tym, że w każdej chwili trzymany w ręku przez Mirosława M. granat, może być zdetonowany. Podjęli pertraktacje.

— Żywi stąd nie wyjdziecie. Chyba że załatwiecie mi szybko samochód i oddacie do moich rąk kluczyki. Najlepiej, gdyby to był mercedes lub audi. Niech za pół godziny stanie przed moim oknem.

Jeden z funkcjonariuszy oznajmił Mirosławowi M., że wyjdzie, by przekazać to żądanie kierownictwu KWP.

Gdy mijali wyznaczony termin, zamiast szybkiego samochodu przed oknami Mirosława M. zjawili się funkcjonariusze z oddziału antyterrorystycznego KWP w Łodzi.

Padło stanowcze wezwanie do naniechania oporu.

Po pięciu minutach Mirosław M. położył granat na stole i z podniesionymi rękami wyszedł na balkon. Funkcjonariusze z jednostki antyterrorystycznej założyli mu kajdanki.

Podczas pierwszego przesłuchania Mirosław M. powiedział:

— Skrzywdzono mnie w okresie weryfikacji. Za to postanowiłem się mścić. Mimo kłopotów Mirosław M. zdołał się zagnieździć w policji, skąd przed dwoma laty został zwolniony dyscyplinarnie.

Policjantom nie udało się do tej chwili zatrzymać czwartego członka bandyckiej grupy. Kolarz Stanisław G. zdołał zbiec. Jest poszukiwany listem gończym. Brak również broni, w którą byli wyposażeni czterej bandyci. Ale śledztwo dopiero się rozpoczęło.

EDWARD NOWAK

ZASTRZELIŁ CZY POSTRZELIŁ



Kilka dni temu w „Super Expressie” na pierwszej stronie znalazł się sensacyjny artykuł o tym, jak to stołeczni policjanci ścigali złodzieja samochodu, a dogoniwszy, z zimną krwią zastrzelili. Artykuł ten aż roi się od przekłamań zarówno co do szczegółów, jak, przede wszystkim, co do najważniejszego faktu — okoliczności użycia broni przez policjanta.

Zdarzenie zaczęło się następująco: Tuż przed godziną 17.00 pewien mieszkaniec Ochoty zauważył przez okno, że ktoś włamuje się do jego zaparkowanego przed domem volkswagena busa. Natychmiast wybiegł przed dom, żeby łapać złodzieja. Ten właśnie odjeżdżał. Właściciel volkswagena wskoczył więc do stojącego obok swojego samochodu osobowego i ruszył w pościg. Na ulicy Okopowej zobaczył policjanta radiowóz. Zatrzymał go i powiedział policjantom, co się stało. Ci natychmiast ruszyli za złodziejem.

Trudno powiedzieć, z jakich źródeł czerpał informacje dziennikarz „Super Expressu”, nie jest bowiem prawdą, że policjanci z Batalionu Patrolowo-Interwencyjnego KSP podjęli pościg, gdyż „odebrali komunikat o skradzionych właśnie samochodach”. Nie mogli odebrać takowego komunikatu, gdyż zgłoszenie o kradzieży volkswagena busa jego właściciel złożył w komendzie znacznie później, już po wydarzeniu. Szczegół to może mniejszej wagi, ale świadczy o braku dziennikarskiej rzetelności.

Uciekający kierowca nie reagował na wezwania policjantów do zatrzymania się. Wjechał w ulicę Krasieńskiego, pędził do Wisłostrady i skręcił jadąc pod prąd w kierunku Kępy Potockiej. Koło pijalni piwa volkswagen zarył się w miękkiej ziemi, rozkopanej z powodu remontu chodnika. Złodziej wyskoczył z samochodu i zaczął biec. Złodzieja, a nie złodzieję, nieprawdą jest bowiem — jak napisał autor wspomnianego artykułu — że w skradzionej furgonetce było trzech mężczyzn.

Obydwaj policjanci wyskoczyli z radiowozu i pobiegli za uciekającym. Wyciągnęli broń. Ten, który był bliżej, oddał strzał ostrzegawczy i zawołał „Stój, bo strzelam!”. Złodzieja nie reagował, biegł w kierunku kładki na kanałku, tak jak prowadził chodnik. Z przeciwka nadjechał inny radiowóz, wezwany wcześniej na pomoc przez ścigających policjantów. Uciekający widząc, że ma zablokowaną drogę, zawałał się i zwolnił. W tym momencie dopadł go policjant. Złapał złodzieja od tyłu i poleciał mu podnieść ręce do góry. Chciał mu założyć kajdanki. Złodzieja szarpnął się, odrzucił coś, co wpadło do kanałku i próbował złapać policjanta za rękę. Policjant miał w ręce odbezpieczony i przeładowany, tj. z nabojem wprowadzonym do komory,

pistolet. Gdy złodzieja szarpnął się, obróciło ich obydwoje i nagle padł strzał. O tym, że padł w czasie szamotaniny, a nie pościgu, świadczyć może miejsce, w którym później znaleziono łuski, a także zeznania wielu świadków.

Informacja jakoby policjant dogonił złodzieja i strzelił mu w głowę, jest bzdurą. Policjant nie miał potrzeby strzelać do uciekającego, złodzieja bowiem miał już odciętą drogę ucieczki i w niczym policjantowi nie zagrażał.

Przedstawiając taką wersję zdarzeń autor artykułu powołuje się na świadków, z którymi rozmawiał parę minut po zajściu. Policja ustaliła wielu świadków, tak się jednak składa, że wersję podaną przez „Super Express” potwierdzają tylko osoby rekrutujące się ze stałych bywalców pobliskiej pijalni piwa. To oni twierdzą, że policjant zastrzelił złodzieja. Inni świadkowie widzieli, że strzał padł w czasie szamotaniny.

Pościgów policjantów za złodziejami jest ostatnio coraz więcej, toteż temat ten szarzał i nie robi już na czytelnikach takiego jak dawniej wrażenia. O wiele efektywniej wygląda natomiast, jeśli w artykule można zasugerować, że policjant bezzasadnie użył broni i z zimną krwią zastrzelił człowieka. Tylko czemu na dłuższą metę ma to służyć?...

ELŻBIETA SITEK

STÓJ POLICJA!



**WYBÓR
ZDARZEŃ
KRYMINALNYCH**
pod redakcją
**MARCELA
TABORA**

● TRUP W DYWANIE

Sprawcę przestępstwa bardzo często zdradza charakterystyczny dlań sposób działania. Potwierdziło to raz jeszcze ujęcie sprawcy zabójstwa w Działdowie już w 2 dni po popełnieniu zbrodni.

Przed południem Krzysztof M. — kuzyn 43-letniego Ryszarda R., zaniepokojony nieobecnością wuja, który miał przybyć na pogrzeb, udał się do jego mieszkania przy ul. B. Prusa w Działdowie. Ponieważ na pukanie do drzwi nikt nie odpowiadał, a drzwi balkonowe były otwarte, Krzysztof M. dostał się do domu przez balkon. Na podłodze wśród porozrzucanych sprzętów zobaczył grubo zrolowany dywan. Gdy wiedziony złym przeczuciem Krzysztof M. rozwinął go, ujrzał zmasakrowane zwłoki wuja. Głowa nosiła ślady licznych obrażeń, na szyi zaciśnięta była pętla z kabla elektrycznego. Krzysztof M. powiadomił policję.

Oględziny miejsca zdarzenia wykazały, że sprawca zabrał z mieszkania takie przedmioty, jak: zegar ścienny, sprzęt elektroniczny i... wypchanego bażanta. Zapomniał natomiast o biżuterii i pieniądzach. Zabrane rzeczy zabójca zapakował do bagażnika stojącego w pobliskim garażu mercedesa Ryszarda R. Prawdopodobnie nie mógł uruchomić silnika i zrezygnował z zabrania łupu. Modus operandi sprawcy pozwolił policjantom z KRP w Działdowie wytypować jako osobę podejrzaną 18-letniego Piotra P., pensjonariusza zakładu poprawczego, który przebywał na tzw. niepowrocie z przepustki. Piotr P., idący na koncie wiele kradzieży i włamań, mieszkał o cztery domy dalej, przy tej samej ulicy co ofiara zabójstwa. Piotr P., zatrzymany w Olsztynie, miał przy sobie spodnie i breloczek zamordowanego Ryszarda R.

W. G.

● SAMOBÓJSTWO Z HUKIEM

57-letnia Maria M., samotna i schorowana, miała już za sobą jedną próbę samobójczą. Wtedy zdołała ją odratować. W niedzielę 15 maja ponownie targnęła się na swoje życie. Odkręciła wszystkie palniki w kuchence i czekała. Około 10.30 nagromadzony w jej mieszkaniu gaz eksplodował z nieznanych przyczyn (najprawdopodobniej iskra z urządzenia elektrycznego)... Pani Maria zginęła od razu. O mały włos nie zabrała ze sobą i innych. Wybuch spowodował zawalenie się dwóch ścian frontowych budynku i zarysowanie stropu. Rannych zostało 9 osób, 3 z nich trafiły do szpitala. Na szczęście, rany nie były śmiertelne. W najpoważniejszym stanie jest 3-letnia dziewczynka, której kawałek szyby uszkodził oko. Trudno wyrokować, ale lekarze chyba zdołają je uratować, nie wiadomo jednak, czy dziecko będzie widziało.

Prezydent Wrocławia, miasta, w którym doszło do tej tragedii, zobowiązał się do pokrycia kosztów remontu budynku.

Przek

● BANDYCKI DEBIUT

— Gdy weszli, myślałam, że chcą kupić coca-cola lub cukierki. Z wyglądu liczyli sobie po czternaście, piętnaście lat. Byli skromnie, lecz schludnie ubrani, mieli sympatyczne buzie — powiedziała funkcjonariuszom KRP we Wrocławiu właścicielka sklepu.

Ale ci, na oko mili i grzeczni chłopcy, niebawem pokazali właściwe twarze. Jeden z nich wyciągnął z kieszeni pistolet i skierował lufę w stronę właścicielki sklepu Teresy P. Jak rasowy bandyta oznajmił:

— Rączki do góry i kasę na stół!

Ponieważ zdumiona właścicielka nie spieszyła się z realizacją żądań, czternastolatek dzielił ją w głowę ręką pistoletu. Zachwiała się, o mało nie upadła. Wykorzystał ten krytyczny moment drugi z chłopaków. Siegnął do szuflady po pieniądze. Zabrał 3 000 000 zł, po czym obydwaj, grożąc użyciem broni, wybiegli na ulicę. Policjanci podjęli akcję pościgową, która, niestety, nie dała pozytywnych rezultatów. Jest nadzieja, że do ujęcia młodocianych napastników przyczynią się dokładne rysopisy podane przez Teresę P.

E. N.

OGŁOSZENIE

Dwuletnia Pomaturalna Szkoła Detektywów i Pracowników przy Centralnym Ośrodku Walk Wschodnich KS „Promień” w Krakowie ogłasza nabór młodzieży na rok szkolny 1994/95. Dla przyszłych kandydatów — uczniów szkół średnich organizujemy 2-tygodniowe kursy przygotowawcze do szkoły w czasie wakacji.

Zgłoszenia codziennie od godz. 8.00 do 20.00, 30-114 Kraków, ul. Kościuszki nr 54, telefon: 67-36-13, tel. 67-14-86.

Wszystkich zainteresowanych naszą szkołą serdecznie zapraszamy.

Wkrótce w sprzedaży 12 numer „Gazety Policyjnej”

**GAZETA
policyjna**

Polecamy w niej: ● Przepis ważniejszy niż człowiek — samobójstwo policjanta ● „Disciplina czyja wina” — cd. ● „Lasowe strzelanie” — inicjatywa gospodarcza szczecińskich policjantów ● Prawo i praktyka — czy komenda może kupić mieszkanie? ● „Ręczne sterowanie” — problemy ze stanowiskiem dzielnicowego ● Policja a prawa człowieka — „Postawa policji” ● „Bez skrupułów” — były policjant zastrzelił dawnego kolegę z KRP ●

● ŚMIERĆ POD OBORNIKIEM

Liczyli na wielkie pieniądze, przynajmniej sto milionów, zabrali tylko pięć i stary budzik.

Do napadu na rolnika Jana W. z Korzecka przygotowywali się od kilku miesięcy. Podczas spotkań nad uszczegółowieniem bandyckiego planu, każdy wymieniał swoje marzenia, które zdoła zrealizować za pomocą zdobytych u Jana W. pieniędzy. Liczyli, że cała czwórka kupi sobie nowe auta zachodnich firm.

Do domu ofiary przyszli wieczorem. Mieli na twarzach czarne pończochy. Trzech weszło do środka, czwarty obserwował drogę. Wiedzieli, że zastaną tylko rolnika i jego żonę. Zażądali wydania gotówki. Jan W. oznajmił, że nie ma żadnych oszczędności, bo poczynił pewne inwestycje. Nie uwierzyli mu, zaczęli sami szukać. Znaleźli pięć milionów zł. To ich zachęciło do ponowienia żądań wzmocnianych biciem ofiary i jego żony.

Gdy i to nie dało pożądanego rezultatu, bandyci ze złości wynieśli Jana W. do obory, położyli go i przykryli głowę grubą warstwą obornika, co spowodowało śmierć ofiary.

W rezultacie działań operacyjnych funkcjonariusze KRP i KWP w Kielcach wpadli na trop bandytów. Przestępców ujęto i aresztowano. Podczas przesłuchań przyznali się do winy. Twierdzili jednak, że śmierć Jana W. nie była przez nich zaplanowana.

E. N.

● TO NIE BYŁ SEN

Około godziny 4.20 w nocy w Glinie (woj. st. warszawskie), przy ul. Kwiatowej, trzech zamaskowanych mężczyzn po wybiciu szyby w oknie piwnicznym wtargnęło do mieszkania.

W pierwszej kolejności obezwładniono 17-letnią Iwonę W., potem zaś jedenastoletniego chłopca. Po związaniu obojga sprawcy zaczęli bić dziewczynę, żądając wskazania miejsca przechowywania kosztowności. Ponieważ ofiara milczała, jeden z napastników nakazał kolede, aby napuścił wody do wanny.

— Jak kilka razy zanurkujesz — miał oświadczyć — to wróci ci pamięć.

Zastraszona ofiara widząc, że włamywacze zdecydowani są spełnić groźbę, wskazała skrytkę z biżuterią. Prócz kosztowności złodzieje dodatkowo zabrali magnetowid. Suma strat sięgnęła kwoty 65 mln złotych.

Kiedy sprawcy opuścili dom, Iwona W. natychmiast powiadomiła miejscową KRP. Sprowadzony pies tropiący podjął ślad. Ujęto dwóch bandytów. Za trzecim trwają poszukiwania. Wszyscy wchodzili już w kolizję z prawem. W przeszłości ferujący wyroki okazali im dużą łaskawość. Jak będzie teraz?

P. S.



poznawczym Komendy Głównej Policji, liczyło 17 etatów, na których zatrudnionych było 13 policjantów. Był to okres, kiedy polska Policja nie dysponowała jeszcze żadnym sprzętem informatycznym. Wszystko wskazywało na to, że ze względów technicznych, liczące się na świecie policje nie wymieniają już informacji na papierze, nasza nie będzie mogła korzystać z interpolowskiej wiedzy o zbrodni i przestępcach, z banku, którego zasięg ogarnia prawie całą kulę ziemską. Do Interpolu należał bowiem 174 państw, w tym 44 z Europy. Ostatni z krajów na naszym kontynencie pozostający poza Interpołem — Mołdawia w maju br. złożyła wniosek o przyjęcie. Zostanie on rozpatrzony na Sesji Zgromadzenia Ogólnego, które odbędzie się we wrześniu br. w Rzymie.

szłości zakres działania będzie się rozszerzał) uzyskać informację o zatrzymanym w Polsce cudzoziemcu z jego ojczystego kraju. Mogą również przekazać informacje o polskich obywatelach poszukiwanych listami gończymi lub zaginionych w świecie i poszukiwanych przez swoich najbliższych. Przykładem może być poszukiwanie właściciela Biura Turystycznego „Mazovia”, który zaginął we Włoszech wraz z pokaźną kwotą pieniędzy przeznaczonych na pobyt kombatantów pod Monte Cassino.

Te działania wymagają, oczywiście, poza techniką, uzyskania zgody Departamentu Prokuratury Ministerstwa Sprawiedliwości na wszczynanie poszukiwań za granicznymi przestępcami w Polsce na podstawie tzw. międzynarodowych listów gończych In-

Zgromadzenie Ogólne Międzynarodowej Organizacji Policji Kryminalnych Interpol uznało, że Federalna Republika Jugosławii (Serbia i Czarnogóra) nie może automatycznie przejąć członkostwa w Interpolu po byłej Federacyjnej Socjalistycznej Republice Jugosławii.

Zdecydowało, że Federalna Republika Jugosławii (Serbia i Czarnogóra) powinna ubiegać się o członkostwo w Organizacji, zgodnie z art. 4 Konstytucji Interpolu.

Aruba. 29 września—5 października 1993 r.

INTERPOL POSZUKUJE

Zabójcy policjanta z Sosnowca zostali zatrzymani w Belgii. Zabójcę taksówkarza z Goleniowa ujęła policja niemiecka. Zatrzymała ona również Czesława O., poszukiwanego listami gończymi za zagarnięcie ponad 300 miliardów złotych, oraz Edwarda B. za kradzież paliwa z rurociągu „Przyjaźń”. Poszukiwany Adam K., który nie powrócił z przepustki do zakładu karnego, został ujęty na Łotwie. W Polsce na zlecenie policji włoskiej zatrzymany został obywatel tego kraju, który usiłował wyjechać na Ukrainę, by w ten sposób uchronić się przed odbyciem kary 7 lat pozbawienia wolności.

Każdego tygodnia na terenie Polski zatrzymywanych jest od dwóch do czterech cudzoziemców poszukiwanych listami gończymi przez policje innych krajów. Mniej więcej tyle samo, co polskich przestępców za granicą.

Krajowe Biuro Interpolu Komendy Głównej Policji w ubiegłym roku zrealizowało 32 950 spraw, w tym prawie połowę na zlecenie polskiej policji. Jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że Polska wstąpiła do Międzynarodowej Organizacji Policji Kryminalnej, zwanej Interpołem, dopiero 27 września 1990 roku po raz drugi, bo w 1923 roku była jednym z jej założycieli i członkiem aż do 1952 roku, kiedy to ówczesne władze uznały, iż dalsza przynależność nie jest wskazana — to trzeba przyznać, że bardzo

szybko stała się pełnoprawnym partnerem dla innych policji. Na konferencji na temat przestępczości zorganizowanej, która odbyła się w marcu br. w Budapeszcie szef Sekretariatu Europejskiego Interpolu Stuart Cameron Waller wymienił polskie biuro Interpolu wśród 17 europejskich biur, które uzyskały pełną gotowość pracy operacyjnej. Jest to, biorąc pod uwagę nasz staż w Interpolu, ogromne osiągnięcie polskiej Policji.

Początkowo KBI, bardzo skromne, funkcjonowało bowiem na prawach wydziału w Biurze Operacyjno-Roz-

O „kartotekach” Interpolu krążą legendy. I rzeczywiście, bank informacji na temat podziemia kryminalnego całego świata jest przeogromny. Ogromna jest również wiedza tej superpolicji na temat zagrożeń przestępczością kryminalną, techniki działania przestępców i ich międzynarodowych powiązań. Dla Polaków, w momencie otwarcia polskich granic, Interpol jest niezwykle cennym sojusznikiem w zwalczaniu przestępczości.

Do Interpolu wprowadzał polską Policję jej ówczesny komendant główny nadinsp. Leszek Lamparski. Jego następcą podinsp. Roman Hula zmieniając struktury organizacyjne KGP utworzył, na bazie dotychczasowego wydziału, Krajowy Oddział Interpolu i usytuował go w Departamencie Policji Kryminalnej. Największe zmiany, i to nie tylko organizacyjne i etatowe — dziś biuro liczy około 40 osób potrafiących się porozumieć w wielu, nawet bardzo egzotycznych, językach — lecz także techniczne nastąpiły za czasów obecnego komendanta głównego nadinsp. Zenona Smolarka. Krajowe Biuro Interpolu stało się jednostką samodzielną, podlegającą bezpośrednio kierownictwu KGP. Zostało całkowicie skomputeryzowane, a połączone siły tego biura i Biura Informatyki oraz wspólnie opracowane programy informatyczne, wprowadzane systematycznie, spowodowały, że w ciągu kilku godzin, o każdej porze dnia i nocy, policjanci z Interpolu mogą (w przy-

terpolu, a to pozwala na zasadzie wzajemności poszukiwać zaginionych i ścigać polskich przestępców poza granicami RP.

O możliwościach Krajowego Biura Interpolu świadczyły takie choćby działania, jak ustalenie, gdy prokuratura zajęła się sprawą nielegalnych adopcji dzieci z województwa zamojskiego, miejsca pobytu 31 dzieci. Informacje w tej precedensowej sprawie Interpol zbierał w wielu krajach od Kanady do Szwecji. Aczkolwiek nie wykluczały one czerpania przez niektóre osoby korzyści materialnych z pośrednictwa

W celu uniknięcia dublowania działań i pozostawiania w ścisłej współpracy z inicjatywami międzynarodowymi Interpol zaleca zorganizowanie forum, działającego w formie dorocznego spotkania, na którym kompetentne władze policyjne będą mogły wymieniać doświadczenia i informacje o śledztwach w sprawach o przestępstwa finansowe oraz technikach i metodach wykrywczych pracy, użytecznych przy rozpoznawaniu działalności związanej z praniem pieniędzy, pochodzących ze szczególnie groźnych form przestępczości kryminalnej oraz wypracowywać skuteczne metody zwalczania tego typu przestępstw.

Z rezolucji Zgromadzenia Ogólnego Interpolu 1993 r.

przy adopcji lub niedopełnienia formalności prawnych, były optymistyczne o tyle, że dzieci znajdowały się w rodzinach, w których zapewniono im dobre warunki. Obecnie z napływających do KBI zleceń wynika, że ciemna liczba w tego typu sprawach jest znaczna i dalszy udział Interpolu jest niezbędny, szczególnie w kolejnej sprawie dotyczącej nielegalnych adopcji o znacznie większych rozmiarach.

Przy tej okazji ujawniono kilka spraw wykorzystywania seksualnego dzieci przez cudzoziemców. I nie dotyczyło to tylko dzieci z domów dziecka — głośna ostatnio sprawa z Holandii, lecz także dzieci wysyłanych przez własnych rodziców pod opieką krewnych czy znajomych. Z jednego z krajów europejskich napłynęły informacje o zarekwirowaniu znacznej liczby kaset porno z udziałem dzieci z krajów europejskich. Trwają wyjaśnienia, czy przy produkcji pornosów wykorzystywane były polskie dzieci.

Dyrektor Krajowego Biura Interpolu insp. Andrzej Koweszko twierdzi, iż z roku na rok policja poszukuje coraz więcej ludzi. W 1991 roku były dwa zlecenia ścigania polskich przestępców i zaginionych. W następnym roku poszukiwano 20 osób. W 1993 r. — 400, a w pierwszym kwartale br. już 409! Są wśród nich podejrzeni lub skazani, którzy uciekają przed karą, ale jest również około 150 osób zaginionych. Są chłopcy w wieku 13—17 lat, którzy

Zgromadzenie Ogólne Interpolu zaleciło, aby członkowie Organizacji przekonali organy rządowe swoich państw o konieczności nasilenia kontroli transportu niebezpiecznych odpadów przez granice oraz spowodowali uznanie przewozu takich substancji za przestępstwo kryminalne.

realizują swoje marzenia o podróżach i odwiedzają się gdzieś w Hiszpanii czy we Włoszech. Są młode kobiety, które wyjechały na zaproszenie cudzoziemcy lub do pracy i słuch po nich zaginął. Część udaje się odnaleźć np. w domach publicznych, gdzie nierzadko trafiły nie przez przypadek, a z wyboru, część w więzieniach, skazanych za kradzież czy nielegalne uprawianie nierządu. Zdarza się, że trzeba powiadomić rodzinę o tragicznej śmierci poszukiwanej osoby.

W tym roku w RPA została uprowadzona i zamordowana kilkunastoletnia polska dziewczynka. W Polsce porwano dwoje dzieci i wywieziono do Australii, gdzie przebywa ich matka. Z wakacji u ojca cudzoziemca nie powrócił jedenastoletni chłopiec, nad którym opiekę sąd przyznał matce mieszkającej w Polsce.

— Przytoczone tu przykłady nie świadczą wyłącznie o zwiększającej się liczbie zaginionych w świecie rodaków — twierdzi dyrektor Koweszko — a również o lepszej współpracy policjantów z województw z Krajowym Biurem Interpolu. Od dwóch lat trwa bowiem szkolenie policjantów jednostek terenowych w KBI i efekty tego są widoczne. O ile w 1991 roku spośród 5759 zleceń przekazanych do KBI zlecenia krajowe stanowiły około 15 proc., o tyle w następnym roku już ponad 30 proc., a obecnie ponad 50 proc.

Taką dynamikę pracy KBI udało się uzyskać między innymi dzięki temu, że większość kadry kierowniczej odbyła przeszkolenie w Sekretariacie Generalnym w Interpolu. Wspólnie z pracującymi tam specjalistami opracowywała zbiorcze analizy kryminalne. Rozpoczęła eksploatację systemu komputerowego obsługującego łączność zagraniczną i kontynentalną Kartotekę Kryminalną ASF. Obecnie trwają prace nad udostępnieniem tej bazy danych komendom wojewódzkim Policji.

Są to, oczywiście, tylko niektóre dane. Można je poszerzyć o takie informacje, jak współpraca KBI ze stałymi przedstawicielami policji niemieckiej, szwedzkiej, francuskiej, przebywającymi w Polsce. Wymiana stażystów z Czechami, Ukrainą, Rosją, Szwecją, Słowacją itd. Można przypomnieć, że od września ub. roku w Sekretariacie Europejskim Interpolu pracuje polski oficer łącznikowy, specjalista z zakresu informatyki, którego wiedza wykorzystywana jest m.in. do budowy systemu komputerowego zapewniającego możliwość współpracy ze wszystkimi policjami świata — członkami Interpolu. Koszt jego pobytu w Lyonie pokrywa Interpol. Ale trzeba pamiętać, że nasz udział w pracach Międzynarodowej Organizacji Policji Kryminalnej to ogromny wysiłek, przede wszystkim finansowy.

Interpol jest organizacją, która utrzymuje się ze składek członkowskich. Opłata roczna jest dość wysoka, dla każdego państwa inna. W chwili naszego wstąpienia do Interpolu dla Polski wynosiła ona 5 jednostek budżetowych, ze skali opłat od 1 do 90. Stany Zjednoczone płaciły wówczas 81 jednostek budżetowych, a RFN i Francja — 72. Liczbę jednostek budżetowych oblicza się według stałego wzoru, biorąc pod uwagę dochód narodowy kraju, liczbę ludności i stan gospodarki. Według tych obliczeń w 1994 roku Polska powinna wnieść opłatę w wysokości 20 jednostek budżetowych. Dzięki naszym staraniom została ona zmniejszona o połowę, ale co roku płacić będziemy o 2 jednostki budżetowe więcej aż do 2000 roku, kiedy nastąpi kolejne naliczenie. Opłatę wnoszą się we frankach szwajcarskich i w tym roku ustalono, iż jedna jednostka budżetowa równa jest 17 300 frankom szwajcarskim.

Każda policja wnoszą również opłaty za udział swoich przedstawicieli w sesjach Zgromadzenia Ogólnego Międzynarodowej Organizacji Policji Kryminalnych Interpol lub konferencjach regionalnych. W poprzednich latach, ze względów finansowych, przedstawiciele polskiej Policji uczestniczyli tylko w niektórych sesjach. A jednak polscy gliniarze wśród tej elity policji zdobyli już pewną pozycję. W maju br. na 23 Europejskiej Konferencji Interpolu w Sinaji (Rumunia) insp. Andrzej Koweszko, dyrektor KBI wybrany został do Komitetu Europejskiego Interpolu.

Przynależność do Interpolu dla naszej Policji to ogromny wysiłek, szczególnie teraz, gdy budżet Policji jest tak mały, ale bez tej przynależności nie udałooby się osiągnąć tak znaczącego postępu nie tylko w technice, lecz także i w policyjnej wiedzy.

ELŻBIETA CIERLICA
zdj. K. Mokrzyński

Zanim zaczną się wakacje



UCIEKINIERZY I NIE TYLKO

TADEUSZ
NOSZCZYŃSKI

Początek lata, ciepłe dni, koniec roku szkolnego i świadectwa, nie dla wszystkich oznaczają błogi okres wakacji. Np. dla policjantów zajmujących się poszukiwaniami osób zaginionych to prawdziwe urwanie głowy — jak twierdzi dyrektor Biura Operacyjno-Rozpoznawczego KGP insp. Krzysztof Jabłoński. Przychodzi okres rozliczeń z wyników w nauce przed rodzicami i wielu młodych ludzi wiedząc już, że nie sprostają ich wymaganiom woli uniknąć konfrontacji w dniu rozdania świadectw. Inni chcą po prostu wyjechać, wyrwać się z domu, poszaleć, ruszyć w trasę koncertową itp. Jeszcze innym ktoś zaproponował złote góry za granicą lub w kraju na filmowym plenerze. Kiedy przychodzi jesień, większość młodocianych uciekinierów sama wraca do domu. Ale nie wszyscy...

Ania ma długie zgrabne nogi i ładne piersi. Wygląda na więcej niż 16 lat. Któregoś dnia na ulicy zatrzymał się przed nią mercedes. Wysiadł z niego elegancki, kulturalny mężczyzna. Bez większych wstępów powiedział dziewczynie, że właśnie jej szukał, że spełnia wszystkie warunki jego pracodawcy w Berlinie. Proponuje jej wyjazd, choćby zaraz. Zostanie kelnerką w najbardziej ekskluzywnym lokalu. Zarobi około 5 tys. marek miesięcznie. Do domu wróci własnym autem.

16-letnia dziewczyna nie zastanawia się, dlaczego ów książę z bajki nawet nie zapytał o jej kwalifikacje, o to, czy zna język niemiecki lub jakiś inny. Widział ktoś kiedyś kelnerkę nie umiejącą zrozumieć składanych jej przez klienta zamówień? Nie zastanawia jej także wiele innych rzeczy. Jedyne problem, jaki dostrzega, to brak paszportu.

— Ależ nic nie szkodzi, biorę to na siebie. Przyjdź tylko jutro o tej porze w to samo miejsce, przynies swoje zdjęcie i zabierz kilka niezbędnych rzeczy.

Ania przychodzi, zostaje nielegalnie przewieziona przez granicę, zgwałcona w samochodzie i trafia do burdelu. Jeśli po jakimś czasie uda jej się uciec, nie jest już tą samą 16-letnią Anią. O swoich „przygodach” z reguły nie chce nikomu opowiadać. Kiedy ma mniej szczęścia, po kilku latach od za-

ginięcia w Polsce zostaje znaleziona w jakimś ciemnym zaułku w dzielnicy dla narkomanów. Zakłuta nożem lub z poderżniętym gardłem.

● Naiwność

ludzka jest zjawiskiem powszechnym i nie mającym dna ani żadnych innych granic. Wystarczy tylko powiedzieć komuś, że właśnie wygrał los na loterii, a uwierzy, choć nigdy wcześniej w żadnej loterii nie uczestniczył. I nie dotyczy to tylko 16-letnich dziewczyn. Ofiarami naiwności padają także ich rodzice i to bez względu na wiek, wykształcenie, zawód (zdarzają się nawet posłanki na Sejm, choć pracownicy KGP woleli nie ujawniać szczegółów poza tym, że chodziło o Sejm poprzedniej kadencji).

Reakcja np. na wszelkiego typu ogłoszenia w gazetach, za które redakcje nie ponoszą przecież żadnej odpowiedzialności, a które obiecują złote góry za granicą lub w kraju, jest ogromna. „I Ty możesz zostać miss nastolatki w Hollywood, tylko wyślij 5 dolarów i podaj adres...” prowokuje tysiące chętnych. W większości oferty wysyłają zwariowani

dokończenie na str. 10



Jakie wybrać zamki, by nie paść ofiarą mieszkaniowych włamywaczy?



■ Zamykanie (i otwieranie) drzwi wejściowych do naszych domów i mieszkań jest czynnością prawie tak powszechną, jak jedzenie czy spanie. Codziennie nasze zamki w drzwiach przez jakiś czas tworzą zaporę dla obcych, nieproszonych gości. Codziennie też, mimo tychże zapór, zdarza się około kilkudziesięciu włamań w każdym dużym mieście i kilkadziesiąt w całym kraju. Co najmniej poło-

prostsze, to, oczywiście, zgubienie, kradzież lub dorobienie klucza.

Najbardziej na te trzy ewentualności narażone są nasze dzieci. Policja zna setki przykładów włamań w dniach, kiedy dzieci nioszące klucze do swoich mieszkań miały lekcję wuefu. Przeważnie nie ma wówczas większych problemów, by podczas gry w piłkę, biegów lub skoków dzieciaka ktoś obcy (np. kolega ze starszej klasy) wyjął mu z teczki klucze do mieszkania, podał komuś innemu czekającemu przed szkołą i przed końcem lekcji oryginalny zestaw włożył w to samo miejsce. Dorobienie kluczy trwa najwyżej 10–20 minut. Dziecko niczego nie zauważy, klucze ma dalej w teczce lub kieszeni, idzie na następną lekcję, a tymczasem drzwi jego mieszkania są właśnie otwierane przez przestępców.

Tylko w przypadku dwu polskich

firm jest to niemożliwe. Zarówno „Gerda”, jak i „Optimus” wykonują klucze, które można dorobić jedynie w autoryzowanym punkcie usługowym, mającym odpowiednie wzorce kopiarek. Ale w punktach tych każde dorobienie klucza jest rejestrowane, klucz nosi specjalny znak i byle kto go nie dorobi.

Ale i na to jest sposób. Najprościej dać ogłoszenie w gazecie, że zakłada się atestowane, nieotwieralne zamki najlepszych firm, dające zniżki w zakładach ubezpieczeniowych itp. Klient dzwoni i prosi o założenie takiego zamka. Anonimowy serwisant przychodzi do nas z „Gerda” lub „Optimusem”, zakłada zamek tej firmy i pyta ile potrzeba nam kluczy. Z reguły mówimy, że cztery, najwyżej pięć. W komplecie jest sześć. Serwisant daje nam żadaną liczbę kluczy. Jeden lub dwa i tak zostają dla niego...

Reszty już chyba się domyślamy. Z tym zastrzeżeniem, że włamanie nie nastąpi zaraz, na drugi dzień. Najwcześniej za pół roku, kiedy już dawno zapomnimy, że ktoś tam z jakiegoś ogłoszenia zakładał nam ten nieotwieralny zamek, który właśnie został otwarty, a w Wydziale Badań Mechanoskopijskich CLK KGP okazuje się, że użyto do tego celu oryginalnego klucza. Jak to?! — pyta poszkodowany. — Przecież mam wszystkie klucze w komplecie, nikt żadnego nie zgubił...

Jak więc założyć dobry zamek? Oczywiście, korzystając z pracowników serwisu danej firmy, dających gwarancję, swój adres etc. Jeżeli jednak wybieramy ogłoszenie w gazecie, zamek obowiązuje musimy sami kupić w sklepie! Wówczas zorientujemy się, że na każdym opakowaniu jest wybita liczba kluczy, które producent

Gdy zamykamy

wa z nich, to włamania do naszych mieszkań tak pieczołowicie zamykanych przed wyjściem do pracy (nie mówiąc już o środkach ostrożności przed wyjazdem na urlop). Włamywacze z reguły wybierają drzwi, które najłatwiej otworzyć, zdjąć z zawiasów, wyważyć lub przepiłować. Tylko specjaliści otwierają te najlepiej zabezpieczone, ale takie włamania należą do rzadkości. Co więc zrobić, jakie wybrać zamki, by nie paść ofiarą mieszkaniowych włamywaczy i mieć spokojny urlop?

Jeśli chodzi o zamki w drzwiach, z pewnością najbardziej kompetentną instytucją jest Wydział Badań Mechanoskopijskich Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego KGP.

— Wszystkie atestowane zamki, które zostały pokonane podczas włamań nie w sposób siłowy — mówi naczelnik tego wydziału insp. Roman Burbelka — trafiają do nas. Tylko niecałe 20 procent z nich otworzyli wysokiej klasy specjaliści. Co więc z pozostałymi? Ponad 80 proc. otworzono właściwym kluczem, a więc tym, w który producent dany zamek wyposażał. Jak więc taki klucz mógł znaleźć się w posiadaniu włamywacza? Sposobów jest kilka. Naj-





wykonał do tego jedyne, niepowtarzalnego egzemplarza. I z reguły jest ich 6 lub 4. Wówczas cena z ogłoszenia, która nam ten zamek założy, nie będzie miała żadnej szansy na wejście w posiadanie klucza do tego zamka.

Ale i wówczas włamywacze nie dają za wygraną. Z reguły przed

Prawie pewnym zabezpieczeniem są zagraniczne zamki. Ich jakość jest bez zarzutu. Tylko cena 2- lub 3-krotnie przewyższa polskie wyroby, które też już zaczynają dorównywać im jakością. Polskim zamkom brakuje jeszcze tylko tego końcowego szlif, są mniej estetyczne, trudniej się ot-

DRZWI

„skokiem” obserwują nasze mieszkanie. Wiedzą, o której wychodzimy z domu i o której wracamy. Widzą też, jakie mamy zamki. Stwierdzają, że dwa z nich są w stanie otworzyć w kilkadziesiąt sekund, ale tego trzeciego nie dadzą rady nawet w godzinę. Co więc robią? Przysiadają wieczorem, kiedy my kładziemy się już spać i blokują nam ten najlepszy zamek. Rano, spiesząc się do pracy, nie możemy go zamknąć. Cholera, zaciął się — stwierdzamy. No trudno, nie możemy się spóźnić. Zostawiamy drzwi zamknięte na dwa pozostałe zamki...

Przed takimi działaniami włamywaczy można się z kolei zabezpieczyć tylko poprzez drugie drzwi. Włamywacz może je sobie obserwować do woli, blokować któryś z zamków etc. Tych drugich nie poogląda sobie tak łatwo. Jest tylko jeden szkopuł. Drugie drzwi muszą otwierać się na zewnątrz. Nie można więc ich montować vis-à-vis na klatkach schodowych typu hotelowego. W razie np. pożaru otwarcie wszystkich drzwi naraz zablokowałoby przejście. To samo dotyczy krat w oknach, które muszą być otwieralne od środka ze względu na przepisy przeciwpożarowe i nasze bezpieczeństwo.

wierają i zamykają, ale jeszcze trochę i nie będzie już żadnych różnic. Z kolei jeśli sami wybieramy się za granicę, możemy tam kupić nawet nie najlepszy zamek (przez to i niedrogi), ale taki, który nie jest sprowadzany do nas. To także dobre zabezpieczenie.

Bo jak uczy się otwierać zamki włamywacz? Nie ćwiczy na drzwiach sąsiada ani innych. Idzie do sklepu, kupuje zamek, kładzie go na stole i bierze się do pracy. Czasem trwa to miesiącami, ale jeśli już go rozgryzie, otwiera go potem w każdych drzwiach, jak np. obecnie skarbce. Kiedyś rewelacyjne, nieotwieralne zamki. Teraz włamanie sypią się wszędzie tam, gdzie są jeszcze zamontowane. Otwierają je nawet nastoletni włamywacze.

Trzeba więc pamiętać, że żywotność zamka nie trwa wiecznie. Po 5 czy 10 latach przestaje być nieosiągalny dla przestępców. A już na pewno trzeba go wymienić wówczas, kiedy się zaczyna. Tym bardziej że może to oznaczać, iż ktoś już przy nim majstrował.

Ale pamiętajmy jeszcze o tym, że nawet najlepszy, atestowany zamek nic nie pomoże, gdy drzwi, w których jest zamontowany, są do niczego. Jest kilka firm, które produkują drzwi praktycznie nie

do pokonania przez włamywaczy. Ale nie do pokonania dla nas może się okazać ich cena. Toteż są sposoby, by zadbać i o nasze standardowe, w jakie wyposażone są bloki mieszkalne. Powinny być więc obite blachą, mieć kołki przeciwwyważeniowe, wyższe zawiasy (by uniemożliwiały włożenie łomu i wypchnięcie ich), obrzeża wzmocnione kątownikiem, no i dobry wizjer szerokokątny, bo napady na mieszkania to ostatnio coraz częstsza forma działań przestępców, którzy nie potrafią sforsować drzwi pod naszą nieobecność. Pamiętajmy więc i o łańcuszku. Nie przesadzajmy też z liczbą zamków. Jeśli będzie ich zbyt dużo, tylko osłabią nasze drzwi. W zupełności wystarczą trzy (podklamkowy, jeden na górze, drugi symetrycznie na dole). Kiedy do tego dołożymy drugie drzwi, w zasadzie możemy spać spokojnie (także poza domem).

● PAMIĘTAJMY!

Jeśli nagle stwierdzamy, że zginął nam klucz, bez względu na wszystko pędem wracamy do domu. Jeżeli rano nie możemy zamknąć jednego z zamków i jest to nasz nowy, najlepszy zamek, wróćmy się, zadzwońmy do pracy, że się spóźnimy i wezwijmy kogoś z serwisu lub ślusarza. Pod żadnym pozorem nie zgadzajmy się na montowanie zamków przyniesionych przez nieznanego ślusarza, np. z ogłoszenia.

Dobry zamek w sklepie można kupić za około 500 tysięcy zł. Przeliczmy, co mógłby wynieść z naszego mieszkania przestępca, zastanówmy się, ile razy ta suma przekroczy koszt zamka i podejmijmy decyzję.

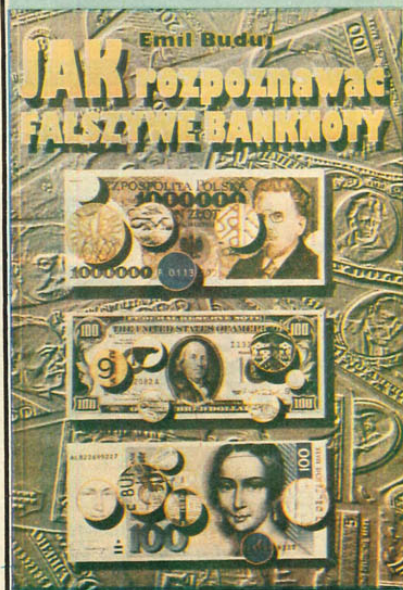
Natomiast kiedy już padniemy ofiarą włamania, nigdy nie zakładajmy z powrotem tych samych zamków! Policja zna liczne przypadki, kiedy włamywacze wracali w to samo miejsce po kilka razy. Nie da się przecież podczas jednego włamania wynieść wszystkiego.

Zwracajmy też baczną uwagę na „domowy obieg kluczy”. Czy przypadkiem nie ma jakichś luk, np. podczas lekcji wuefu naszego dziecka, zebrań w pracy, kiedy nasze kurtki i marynarki wiszą w pustych pokojach itp. Złodzieje czekają właśnie na takie okazje, naszą nieostrożność, pośpiech, roztargnienie.

Ci, którzy otwierają najlepsze zamki, nie rzucają się na nasze mieszkanie. Oni swój talent i wiedzę sprzedają za duże pieniądze. Otwierają zamki na zamówienie w najbardziej zasobnych willach, sejfach, kantorach. O włamaniu do mieszkania w bloku na osiedlu z reguły decyduje okazja, tzn. jakieś nasze niedopatrzienie.

Jestem przekonany, że każdy Czytelnik „MK 997”, który zastосуje się do powyższych rad, nie musi się niczego obawiać.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI
zdj. autora



WSZYSTKO O FALSZER- STWACH

Jak rozpoznać fałszywe banknoty? Ależ to proste! Oczywiście pod warunkiem, że będzie się miało pod ręką książkę Emila Buduży, niedawno wydaną przez Polską Oficynę Wydawniczą „BGW”. Jej autor jest podinspektorem Policji, ekspertem zajmującym się problematyką fałszowania banknotów od ponad dwudziestu lat. Kieruje Wydziałem Badań Dokumentów w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym KGP. Osobiście wykonuje ekspertyzy banknotów w najpoważniejszych sprawach karnych.

Jego książka obrazuje proces powstawania pieniądza, pokazuje jak to robią fałszerze, informuje, co powinien zawierać prawdziwy pieniądz (zarówno jeśli chodzi o banknoty, jak i monety), ujawnia systemy zabezpieczeń najważniejszych walut świata (a więc dolarów amerykańskich i marek niemieckich) oraz zabezpieczenia występujące na polskich banknotach. Jednym słowem, zawiera wszelkie praktyczne rady, jak rozpoznawać fałszywe banknoty, uczy jak rozróżniać zabezpieczenia walut oraz na jakie elementy pieniądza zwracać uwagę, aby nie paść ofiarą fałszerzy i oszustów.

T. N.
repr. K. Potocki

CORAZ WIĘCEJ BRONI

Zakłady zbrojeniowe w Iżewsku uzbrajały świat w karabiny Kalasznikowa i produkują rakiety, z których można atakować miasta i niszczyć czołgi.



Jednakże w dzisiejszych trudnych czasach, w których wróg czai się raczej w ciemnej uliczce niż za otoczonymi kolczastymi drutami granicami, fabryki w Iżewsku coraz większą uwagę poświęcają zaspokojeniu popytu ludności na rynku krajowym.

„Tych pistoletów automatycznych sprzedajemy tyle, ile jesteśmy w stanie wyprodukować” — mówi dyrektor zakładów zbrojeniowych w Iżewsku Wasilij Czugujewski. — Broń ta nie zabija, lecz na pewien czas unieruchamia napastnika obłokiem toksycznego gazu. Czugujewski uważa, że wkrótce jego czarne, lśniące pistolety „podbiją” moskiewskie ulice. „Ludzie potrzebują dziś ochrony na ulicach miast Rosji” — podkreśla dyrektor.

Prezydent Boris Jelcyn ogłosił dekret legalizujący posiadanie takich pistoletów, bardzo podobnych do broni palnej. Coraz więcej osób traktuje te pistolety jako podstawowy środek samoobrony.

„Huk wystrzału i gaz oszałamiają napastnika na kilka minut. Jest to skuteczna obrona, jeśli nie strzela się pod wiatr” — mówi główny inżynier zakładów w Iżewsku Emil Miljukow.

Pistolety te nie dorównują jednak skutecznością broni palnej. Jednakże ich zwolennicy argumentują, że potrafią one unieruchomić pojedynczego napastnika w ciemnej uliczce, w parku czy metrze.

W Moskwie tysiące kobiet i mężczyzn nabyło nową broń w jednym z dziesięciu sklepów i ukończyło obowiązkowy kurs instruktażowy jej stosowania.

Anatolij Rudnik (były funkcjonariusz KGB) utworzył doskonale prosperujący ośrodek szkolenia w posługiwaniu

się bronią gazową, działający przy jednej z małych bocznych uliczek Moskwy. Sześciogodzinny kurs w firmie „Wozroźdzenie” („Odrodzenie”) kosztuje 10 000 rubli (ok. 10 dolarów). Każdego dnia wieczorem w zatłoczonej salce 30 osób zapoznaje się z obsługą i stosowaniem broni gazowej.

Pistolet automatyczny dla kobiet jest mniejszy i łatwiej mieścić się w damskiej torebce czy kieszeni. Rewolwer z obracającym się bębniem jest większy i szybszy w działaniu. „Jest on bardziej skuteczny przy pierwszym strzale” — wyjaśnia słuchaczom major milicji Siergiej Makarow, naciskając cyniel.

„Czy jesteśmy uprawnieni do korzystania z broni wywołującej wstrząsy elektryczne?” — zapytuje pewien gorliwy słuchacz. Jak to często się zdarza, również tu prawo rosyjskie nie jest dokładnie sformułowane.

Rudnik zamierza rozszerzyć swe interesy przez nawiązanie kontaktów z firmami zagranicznymi. Planuje import pistoletów gazowych z Niemiec. Ocenia on pistolety z Iżewska jako gorszej jakości od zagranicznych.

Przedstawiciele firm handlujących bronią gazową mają nadzieję, że władze Rosji złagodzią przepisy dotyczące możliwości nabywania broni palnej. Wywołuje to jednak sprzeciw milicji, która obawia się, że może to jeszcze bardziej zwiększyć stosowanie przemocy na ulicach rosyjskich miast. Natomiast wielu słuchaczy majora Makarowa z niecierpliwością oczekuje zmian w przepisach dotyczących posiadania broni palnej.

(gi)

SKOMPROMITOWANY ARYSTOKRATA

Małe dziewczynki, narkotyki, zdjęcia pornograficzne, prostytutki: w ten sposób potomek znanego rodu kompromituje swój herb.

— To zwykła propaganda, historyjka wymyślona przez komunistycznych nawiedzalców — broni się Rafael Medina, grand hiszpański, oskarżony o porwanie kilkulatniej dziewczynki i utopienie jej w wannie.

— Tylko moja matka może mieć teraz wyrzuty sumienia. To wszystko jej wina. Gdyby zył ojciec, moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Po jego śmierci matka oddała mnie w ręce stada pokojówek i guwernantek, nie interesowała się tym, co się ze mną dzieje.

Obecni na toczącym się właśnie procesie przeciwko księciu z niedowierzaniem słuchali naiwnych i infantylnych zeznań 52-letniego, bądź co bądź, Rafaela Mediny y Fernandez de Coroba, szczytującego się tytułami granda hiszpańskiego, księcia Ferii, markiza Villalby. Zeznań, które kompromitują i ośmieszają jeden z najstarszych i najznakomitszych rodów Europy. Zważywszy na prestiżowe pochodzenie i pełnione funkcje „pornoksiążę” — jak nazwała go opinia publiczna — mógłby przedstawić nieco poważniejsze i bardziej wiarygodne argumenty na swoją obronę niż dramatyczny brak macierzyńskiego afektu we wczesnym dzieciństwie. Nudne i cliche wyznania głównego oskarżonego w efekcie zdominowały proces.

Jak to często w takich przypadkach bywa, sam książę do tej pory cieszył się nienaganną opinią, szacunkiem rodaków, a nawet szczególnymi względami monarchy, króla Juana Carlosa. Nieprawdopodobny wręcz wydaje się fakt, że osobie tak bardzo „publicznej” udawało się zachować w tajemnicy

przed wszystkimi drugą stronę swojego życia, tę ciemniejszą, przepelnioną transakcjami narkotykowymi, zamykaniem do sadystycznego seksu (który urzeczywistniał w domach uciech) oraz szczególnie chorobliwą pedofilią. Ta pedofilia właśnie skłaniała go do fotografowania, na użytek własny, nagi, małych dziewczynek, które zwał podstępem do swojego domu. Niektóre z nich nie wróciły już stamtąd nigdy... Równocześnie pedofilia spowodowała jego „wpadkę” i aresztowanie.

Skandal wybuchł rok temu, gdy książę został zatrzymany pod zarzutem porwania pięcioletniej Any Marii. Jeden ze współników Mediny zaczął ją w parku, gdy bawiła się z innymi dziećmi i udając „dobrego wujka” zaprowadził do apartamentów księcia. W tych to apartamentach nieco później znaleziono serię zdjęć, przedstawiających Anę Marię pozującą niedwuznacznie w książęcej wannie. Jak zeznał jeden z obecnych przy tym mężczyzn, Medina obsypał dziewczynkę nowiutkimi zabawkami, nakarmił wyszukany smakowitości, po czym delikatnie nakłaniał do „bajecznej kąpieli w słodkiej pianie”. W tej samej pianie już po wykonaniu zdjęć, utopił swoją ofiarę.

Na wieść o tak wyrachowanej zbrodni, dokonanej przez ogólnie szanowa-

USA

MIAMI RAJEM DLA TURYSTÓW I... KRYMINALISTÓW

Seria morderstw i plaga napadów rabunkowych na cudzoziemców i turystów w Miami na Florydzie skłoniła tamtejsze władze do wprowadzenia w ubiegłym roku nadzwyczajnych środków, m.in.: ogłoszono godzinę policyjną od 23.00 dla nieletnich poniżej 17 lat oraz przydzielono policji dodatkowy budżet w wysokości 1,8 mln dolarów, co umożliwiło utworzenie specjalnego ruchomego oddziału policji, liczącego 23 oficerów, którego głównym zadaniem jest ochrona turystów w „trójkącie lotniczego portu”.

Oprócz zapewnienia bezpieczeństwa milionom turystów przybywających co roku na Florydę, poważnym problemem dla tamtejszej policji jest walka z przemytem i nielegalnym handlem narkotykami. Wystarczy nadmienić, że tylko w ubiegłym roku policja w Miami przechwyciła 49,5 tony kokainy.

(om)



**Książę Rafael Medina
i jego była żona
Nati Ascabal**



nego człowieka, Hiszpanie doznali wstrząsu. Tym bardziej że śledztwo w sprawie Any Marii wykazało, że nie była ona jedyną ofiarą księcia Ferii. Wyjaśniło ono wreszcie okoliczności zaginięcia jeszcze kilku innych małych dziewczynek. Ponadto w apartamentach Mediny znaleziono kilka kilogramów różnych narkotyków. Takie curriculum vitae mogłoby z powodzeniem zaopiniować wiele policyjnych kartotek.

Podczas rozprawy Medina konsekwentnie zaprzeczał, jakoby miał cokolwiek wspólnego z zarzucanymi mu morderstwami, przyznawał się jedynie do posiadania i systematycznego zażywania narkotyków. Jak ponadto stwierdził, były one dla niego ucieczką od kosmaru, jakim stało się jego życie po odejściu żony. Prawda okazała się z gruntu inna. To właśnie żona księcia, była znana modelka Nati Ascabal, doskonale zorientowana w ponurych sprawach męża, porzuciła go, zabierając ze sobą dwóch synów. Medina zagroził jej, że jeżeli pisnie choć słówko zabije ją i dzieci. Nati musiała dobrze znać swojego męża, skoro przez wiele lat wołała milczeć.

Książę Ferii następująco wyjaśniał istnienie dość jednoznacznych zdjęć: — Zawsze pasjonowała mnie fotografia. Szczególnie lubię wzorować się na pracach Davida Hamiltona, to prawdziwy geniusz. Poza tym, jak wszyscy wiecie, jestem również człowiekiem interesu. Zdjęcia te robiłem z myślą o reklamie pewnego szamponu. Nie kierowały mną żadne niezdrowe pobudki. To przecież absurd! Kocham to dziecko, była dla mnie jak córka, o której zawsze marzyłem, a której, niestety, nie mam...

Może to nawet lepiej — orzekli zgodnie wszyscy obecni na procesie.

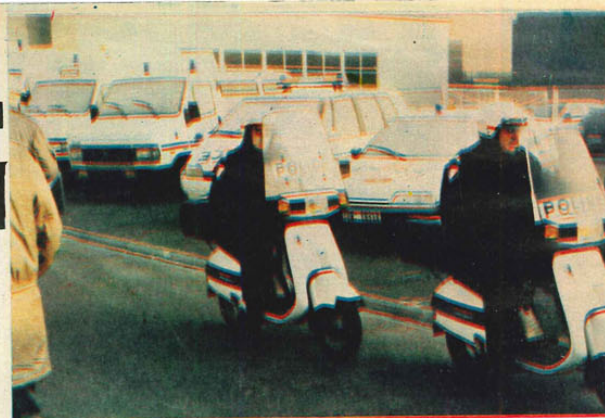
Sprawa przeciwko księciu Rafaelowi Medinie dobiega powoli końca. Jeżeli badający go psychiatrzy nie stwierdzą żadnych odchyśleń od normy, dalekiemu krewnemu króla Hiszpanii grozi dożywocie. Konsekwencji, jakie pociągnie za sobą tego typu wydarzenie odnośnie pozycji — tak do tychczas pewnej w Hiszpanii — wielu arystokratycznych rodzin, nikt nie jest na razie w stanie przewidzieć.

MONIKA SOKALSKA



Francja

zdj. A. K. Podgórski



JAK KONTROLUJE SIĘ POLICJĘ

W policji francuskiej istnieje komórka pod nazwą Generalna Inspekcja Policji Krajowej (IGPN), której zadaniem jest kontrola działania policji i przestrzegania dyscypliny przez jej funkcjonariuszy. Do zadań IGPN należy również przeprowadzanie analiz w celu optymalnego wykorzystania personelu.

Generalną Inspekcję tworzy stosunkowo nieliczna grupa osób, w której skład wchodzi: dyrektor, 9 urzędników wysokiej rangi, 19 komisarzy, 13 inspektorów, 4 komendantów lub oficerów, 2 podoficerów lub posterunkowych, 11 pracowników administracyjnych.

Według dokumentacji, w 1989 r. (późniejszych danych nie opublikowano) we Francji złożono 1443 skargi na funkcjonariuszy policji. Liczba ta obejmuje wszystkie wykroczenia popełnione przez policjantów, zarówno w czasie wykonywania obowiązków służbowych, jak i w życiu prywatnym. Do pierwszych zaliczane są: niewłaściwe użycie broni służbowej, nadużycie władzy, nieuzasadnione aresztowanie i przetrzymywanie osób, pobicie, nieumyślne zabójstwo, kradzież i paserstwo, oszustwo, malwersacja, łapówkarstwo. Do drugich: pijaństwo w miejscu publicznym, prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym, przemoc wobec współmałżonka, nieoddawanie długów, wystawianie czeków bez pokrycia.

Większość przypadków stanowią wykroczenia karane raczej administracyjnie niż wymagające interwencji wymiaru sprawiedliwości. Na 1306 spraw uregulowanych w 1987 r. wymiar sprawiedliwości interweniował tylko w 58 przypadkach. 54 funkcjonariuszy opuściło służbę w następstwie usunięcia, zwolnienia lub odwołania.

(gi)

Włochy



NOWA WERSJA PASA CNOTY

Nie tak dawno wszyscy Amerykanie przeżywali głośny incydent, będący nieoczekiwaną konsekwencją małżeńskich kłótni. W wyniku sporu żądna krwi i zemsty małżonka bez żadnych skrupułów odciął swemu partnerowi najintymniejszą część ciała, pozbawiając go w ten sposób istotnego elementu męskości. Fotografia dowodu zbrodni, leżącego samotnie na stole operacyjnym była poważnym ostrzeżeniem dla zbyt porywczych i gwałtownych mężów.

Jak się okazuje, było to nie tylko ostrzeżenie dla panów, ale też zachęta i przykład dla pań.

Włoskie kobiety nie pozostały w tyle. Ostatnio rozeszła się wieść o identycznym zdarzeniu, mającym miejsce w północnych Włoszech. Bohaterka skandalu była o tyle bardziej bezwzględna, że nie dała mężowi absolutnie żadnej szansy na operacyjne „naprawienie” krzywdy, zamieniając odcięty kawałek ciała w krwawą miazgę. Obecnie odbywa karę w więzieniu, a jej mąż czeka w szpitalu na protezę...

Remedium na to przykre zjawisko wynalazł włoski rzeźbiarz Angelo Camerino (na zdjęciu, wraz ze swym dziełem). Zaprojektował mianowicie niezwykle pancerne majtki, do złudzenia przypominające średniowieczny pas cnoty. Są ze stali i ważą 1 kg.

Pierwszym klientem artysty był oczywiście Amerykanin. Jeden z pracowników ambasady USA w Rzymie zamówił trzy egzemplarze owego „pancerza”, które zamierzał bezzwłocznie wystać do swojej ojczyzny. Mężczyźni za oceanem zakładają je będąc na noc, aby nie dopuścić do niszczycielskiej działalności żon.

M. S.



Działająca od 1993 roku Szkoła Biznesu i Języków Obcych jest prywatnym studium policealnym bez praw szkół publicznych. Dyrekcja wystąpiła o przyznanie takich praw, na razie nie wiadomo jednak, czy szkoła je otrzyma. Zdecyduje o tym kuratorium, które przeprowadza właśnie wizytację. Studium mieści się przy ul. Królowej Aldony, w typowej dla warszawskiej Saskiej Kępy willi. Pokoiki poprzerabiane na sale lekcyjne i korytarzyki węższe niż drzwi w niczym nie przypominają tego, co zwykle kojarzy się z budynkiem szkolnym. Zajęcia prowadzone są również w, znajdującym się za willą, parterowym pawilonie, ale i on nie rozwiązuje problemu ciasnoty. Dyrekcja zdecydowała się nawet na ogłoszenie — dość kuriozalne — zarządzenia:

„Zabrania się gromadzenia w korytarzach budynku między wykładami. Po zakończonej przerwie między wykładami słuchacze przebywają w sa-

Problemem numer dwa jest — zdaniem niektórych uczniów — przekraczająca wszelkie granice przyzwoitości nierzetelność szkoły.

— Do dziś reklamuje się ona w „Kalendarzu Maturzysty” i „Gońcu Szkolnym” (dodatki dla uczniów wydawane przez „Gazetę Wyborczą” i „Życie Warszawy” — przyp. aut.) jako najlepsza spośród takich szkół, a trudno o bardziej wierutną bzdurę — mówi uczennica, która zrezygnowała już z nauki w SBiJO. — Bardzo różny jest poziom nauczycieli, zwłaszcza języków obcych. Są tacy z wieloletnim doświadczeniem i tacy bez żadnego przygotowania — ludzie niewiele starsi od samych uczniów, najczęściej doraabiający sobie studenci. W mojej klasie uczył akurat Anglik, który z pewnością mógłby nam coś przekazać, tyle że raczej lekko traktował swoje obowiązki. Często nie pojawiał się na lekcjach, szczególnie gdy były to pierwsze godziny.

— Nie liczyłem nawet zbyttno na to,

Biznes na szkole

Nim jeszcze zakończył się pierwszy semestr w nowo utworzonej Szkole Biznesu i Języków Obcych w Warszawie, kilkadziesiąt osób zrezygnowało z nauki w tej placówce. W grudniu ubiegłego roku kilkunastu uczniów zgłosiło się do prokuratury, na początku tego roku uczyniło to kolejnych kilkudziesięciu. Skarżą właściciela szkoły o oszustwo. Nie mogą otrzymać zwrotu czesnego, choć — ich zdaniem — szkoła naruszyła warunki zawartej z nimi umowy. Program realizowany nie był zgodny z programem, jaki im obiecano, a nauczyciele nie wywiązywali się z ciążących na nich obowiązków. Dyrektor twierdzi, że odstąpienie od umowy jest ich sprawą, gdyż szkoła nie ponosi żadnej winy i nie będzie zwracać czesnego. Sprawę bada Prokuratura Rejonowa Warszawa Praga-Południe.

lach wykładowych. Po zakończeniu zajęć słuchacze opuszczają budynek.”

— To po to, by w budynku zrobiło się luźniej, ale samym zarządzeniem niewiele się zwojuje. Dlaczego przyjęli aż tyle ludzi, mając takie warunki? — komentuje jeden z uczniów.

Przed rozpoczęciem naboru szkoła prowadziła intensywną kampanię reklamową w stołecznych dziennikach (ogłoszenia ukazują się nadal). Oferowała modne obecnie kierunki, m.in. hotelarstwo i handel zagraniczny, przy warunkach bardzo konkurencyjnych w stosunku do innych tego typu placówek — nauka za darmo, odpłatność 1 mln złotych jedynie za kursy językowe i komputerowe. Zgłosiło się ok. 1000 chętnych. Przyjęto ich nie tylko na normalne zajęcia w ciągu tygodnia, lecz i na różne kursy popołudniowe i weekendowe. Mimo to szkoła pozostawała przeładowana.

że zostaną przyjęty, ale po krótkiej rozmowie z dyrektorem okazało się, że mam pracę — mówi jeden z nauczycieli. — Nie zna on języka, którego miałem uczyć, ale spodobała mi się moja wymowa. Powiedział mi, że mam dobry akcent i nie pytał już o papiery. Początkowo było trudno, zwłaszcza że często dzwoniło do mnie z samego rana, bym przyjeżdżał czym prędzej na zastępstwo, bo kogoś nie ma. Wtedy nigdy nie wiedziałem, na jak bardzo zaawansowaną grupę trafię. Później nauczyłem się odpowiednio postępować i z uczniami, i z personelem, tak by nie wścikano mi już lekcji za kogoś.

Uczniowie, którzy zrezygnowali z nauki w SBiJO zarzucają dyrekcji szkoły również to, że bez ich zgody zmieniła program nauczania.

— Obiecywano m.in. naukę na kierunku handel zagraniczny, dlatego przyszedłem — mówi uczennica, która

UCIEKINIERZY I NIE TYLKO

dokończenie ze str. 5

● Rodzice

Zresztą właśnie oni są w wielu przypadkach głównym powodem ucieczek nastolatków z domu. Jednym z przykładów należących już niemal do klasyki, jest stawianie zbyt wysokiej poprzeczki swoim dzieciom.

— „Pamiętaj, Ewuniu, że nie interesuje nas (rodziców) żadna ocena poniżej trójki na twoim świadectwie...” — mówi mamusia do ukochanej córeczki. Córeczka wie, że z matematyki i fizyki w życiu nie wyciągnie na więcej. Nie wytrzymuje presji i gdy nadarza się okazja, ucieka jeszcze przed rozdanym świadectwem.

Ale policji znane są i inne rozwiązania tego samego problemu. Liczba samobójstw nastolatków ciągle wzrasta. Kiedy nie ma gdzie uciekać, a dziecko ze swoimi problemami boryka się samo, bo rodzice oprócz zapewnienia mu jak najlepszych warunków finansowych i pilnowania postępów w nauce nie interesują się już niczym innym.

Jest i druga skrajność. Rodzice na bezrobociu nie chcą, żeby dziecko siedziało beczynnie w domu, albo chodziło do szkoły i skończyło tak jak oni. Widzą, że córka wyrosła im całkiem, całkiem, więc wysyłają ją do pracy np. w peep shopie. A co to szkodzi, że w rytm muzyki trochę się rozbiezga, nic jej się od tego nie stanie, a przynajmniej ustawi się w życiu. Od takich rodziców ucieka się równie często.

Ostatni rozkwit wszelkiego rodzaju salonów masażu, agencji towarzyskich, tworzy rynek pracy dla młodzieży płci obojga. Jedni trafiają tam świadomie, ale bez zgody rodziców, inni z ich aprobatą, a jeszcze inni zupełnie niechcący.

W większości przypadków króluje jednak wspomniana już naiwność. Do rodziców w okresie lata przyjeżdża jakiś znajomy znajomego i pyta, czemu to dzieci nie na wakacjach. Nie ma pieniędzy na kolonie? Dobra, ja to załatwię. Biorę je na obóz. Na obozie najpierw jest zabawa piłką, potem włącza się kamerę i mówi, kiedy dzieci mają co zdjąć, by lepiej się opalić. I tak powstają poszukiwane na Zachodzie filmy porno z dziećmi w roli głównej.

● Sekty i burdele

Kolejny, tym razem już nie tak bardzo zależny od rodziców, powód ucieczek z domu stanowią najprzeróżniejsze sekty wyznaniowe, religijne

itp. Organizacja takiej grupy ma z reguły identyczny scenariusz. Forsa przychodzi z Zachodu, kupuje się jakieś pole, dom, schronisko, potem przyjeżdża „guru” i ściąga swoich wyznawców, ci przekonują do siebie młodych „tubylców”.

— Ileż to razy przychodzą do nas zrozpaczeni rodzice — opowiada podinsp. Wiesława Sztulkowska z Biura Operacyjno-Rozpoznawczego KGP — i błagają o pomoc. Jeśli dziecko skończyło 18 lat, policja jest bezsilna. O wadze tego niedocenianego dotąd zjawiska najlepiej świadczy fakt, że w Polsce powstało już Stowarzyszenie Ochrony Rodziny przed Działalnością Sekt.

O tym, że w wielu takich komunach dzieje się coś złego, oczywiście wiemy, tyle że nieoficjalnie — kontynuuje moja rozmówczyni. — Istnieje np. sekta, w której nie ma małych dziewczynek. To przecież niemożliwe, żeby w jakiejś grupie ludzkiej rozdzielili się tylko sami chłopcy. Ale o tym, co dzieje się z dziewczynkami zaraz po narodzeniu,

KTÓRĘDY DO WYJŚCIA

Trudno dzisiaj wyobrazić sobie organizatorów i uczestników jakiegokolwiek imprezy kulturalnej, turystycznej, handlowej czy sportowej bez tzw. identyfikatorów. Noszą je szacowni uczeni w czasie zjazdów i kongresów naukowych, noszą lekarze, sprzedawcy, kasjerzy w banku i na pocztach.

Plastyczna plakietka z fotografią i personaliami osoby przypisanej jakby do czegoś, z czym się ona identyfikuje, zrobiła nieprawdopodobną karierę w świecie współczesnym. Daje to skądinąd sporo do myślenia socjologom, psychologom i pedagogom, zainteresowanym poszukiwaniem skutecznego sposobu na pewną jakby uniformizację młodzieży, stanowiącej bezimienną, anonimową tłum, tożsamą zresztą z nierozpoznawalną społecznością ludzi dorosłych.

Jak się w tym tłumie rozeznac? Jak wywieść „kto jest kim” (Who's who)? Jak rozpoznać ucznia, studenta, subiekta? Jak odróżnić w miejscu publicznym skandalicznie zachowującą się grupę małałatów podążających do szkoły od przebywających „na gigancie” uciekinierów z domu czy małych włóczęgów, co dali nogę z poprawczaka?

Nie tylko ubiorem nie różnią się chłopcy i dziewczęta, ale też w sposobie bycia i wysławiania się trudno wychwycić jakieś znaczące różnice.

Wspomniane identyfikatory nasuwają niekiedy pomysł, by może przywrócić obowiązek noszenia tarcz szkolnych?

Ludzie starej daty, nostalgicznie wzdychają do lat międzywojnia, kiedy to nie tylko tarcze, ale przepisowe nakrycia głowy (każda szkoła miała innego kroju czapki czy berety), a nawet, w niektórych jeszcze przypadkach, fartuchy dla dziewcząt czy mundury dla chłopców (szkoła Górskiego) obliżowały młodzież do stosownego zachowania się na ulicy, w parku lub w kinie. Próby „szwarcowania” się na filmy od lat 18. w pożyczanych czapkach studenckich lub kapeluszach starszych braci, rzadko kiedy się udawały. Palenie papierosów w parku też nie wychodziło na dobre uczniakom, zwykle chwytali ich na gorącym uczynku panie policjantki i odbierały legitymacje szkolne, a dalszego ciągu już się można domyśleć. W ogóle, w miejscach publicznych, na każdym kroku młodzież musiała zachowywać się wzorowo, wieczorami zaś można się było przechradać po mieście jedynie w towarzystwie dorosłych.

Ciekawe, że w Stanach Zjednoczonych, ten ostatni wymóg zyskuje coraz więcej zwolenników, włącznie z zakazem przebywania młodzieży po „godzinie policyjnej” w dzielnicach o szczególnie zagrożonym stanie bezpieczeństwa.

Oczywiście, generalnie rzecz biorąc, dawne „grzeszki” młodzieży, to niewinne igraszki w porównaniu z groźnymi wyczynami dzisiejszych nastolatków. Mówi się o nich coraz głośniejsze, pisze, bije na alarm w prasie, radio i telewizji. Nadal jednak, mimo wszystko, sprawia to wrażenie uporczywej walki ze skutkami deprawacji czy wręcz przestępczości nieletnich, przy całkowitym jakby abstrahowaniu od przyczyn demoralizacji społeczeństwa w ogóle — nie tylko młodej i najmłodszej generacji.

W Wielkiej Brytanii już trochę inaczej patrzy się na te sprawy. Otwarcie mówi się o tym, że kino i telewizja mają coraz bardziej zgnubny wpływ na dzieci i młodzież. Nie idzie już o zdrowie (oczy), ogłupianie, wtórny analfabetyzm, ale o coś równie ważnego: o zdrowie psychiczne, o mentalność, morale, etykę. Codzienne dawki agresji, przemoc, gwałtu, morderstw aplikowane młodzieży dają zatrważające efekty. Małoletni przestępcy okazują się zdolni do zbrodni tak odrażających, że starym policyjnym wygom to się w główne nie mieści.

U nas jest nie inaczej. Ale jakąż wrażliwość ma kształtować telewizja, jeśli młodzież ogląda wciąż, nieustannie, przedstawiane z chłodnym obiektywizmem — relata refero — krwawe jatki w Sarajewie, Gorażde, Somali, RPA? Strzelaniny, ucieczki, krew, zabici i ranni, zjadłość, dzikość, żądza mordowania, to staje się normą, dominantą wiadomości telewizyjnych. Jakis pogodniejszy, miłszy dla oka „rodzynek”, należy do rzadkości.

Wystarczy uważnie przeczytać repertuar kin, przejść się do pierwszej lepszej wypożyczalni kaset wideo. Posłuchać, o czym małałaty rozmawiają między sobą. I jakim językiem?!

W kinie i na kasetach „idą” wyłącznie jakby poglądowe lekcje masakrowania ludzi. Tradycyjne, rzecz można — konwencjonalne sposoby zabijania, już nie rajucaj naszych milusińskich. Musi to być tak ostawiona „robota”, żeby największym twardełom podczas oglądania zbierało się na wymioty. „O, to mnie rusza, to jest to!”

A potem czytamy w prasie, że małałaty potrafią zakatować rówieśnika, że w bestialski sposób masakrują swe ofiary, że w okrucieństwie starają się dorównać wzorcom filmowym. Przyznają się do tego w czasie przesłuchań, z dumą wymieniają przydomki swych idoli (na nich też się snobują, wymyślając własne ksywki).

Nie ma się co oszukiwać „w tym temacie”: znaleźliśmy się w matni. Jakie jest — i czy jest — wyjście? Skoro problemu jakby nie dostrzegają, nie przyjmują do wiadomości czynniki odpowiedzialne za porządek społeczny, to o czym tu mówić? Czy rzeczywiście od zapobiegania i zwalczania przestępczości nieletnich ważniejsze są zabiegi szefa Monaru, pana Marka Kotańskiego, fantazującego na temat Ameryki dla ubogich w koszarach posowieckich?

LECH TERPIŁOWSKI

przeniosła się do innej szkoły — ale to były gruszki na wierzbie. Okazało się że szkoła, nie mając praw szkół państwowych, nie może wydać dyplomu, a jeśli to zrobi, będzie on równoznaczny ze świstkiem papieru, który sama bym sobie wypisała. Dowiedziałam się o tym już w trakcie nauki. Dyrektor obiecywał, że ulegnie to zmianie, uspokajał, że to dopiero pierwszy rok i do dyplomu jeszcze sporo czasu, ale to tylko takie łudzenie ludzi. Teraz chodzę do szkoły przy Chłodnej. Drożej mnie to kosztuje, ale przynajmniej wiem, że nie tracę czasu ani pieniędzy.

Nie udało mi się porozmawiać o konflikcie w szkole z jej właścicielem — i zarazem Dyrektorem Generalnym Zjednoczonych Uczelni, jak brzmi jego pełny tytuł — dr. Mirosławem Cienkowskim. Kiedy przyjechałem na ulicę Królowej Aldony, akurat miał ważne spotkanie z rektorem swojej szkoły. Sekretarka umówiła mnie na późniejszy telefon. Tą drogą jednak również niewiele wskórałem. Dr Cienkowski

graniczny czy hotelarstwo, ponieważ każda szkoła, która nie występuje o nadanie praw szkół publicznych może robić, co jej się podoba. W momencie jednak, kiedy szkoła występuje o przyznanie takich praw, a Szkoła Biznesu i Języków Obcych to uczyniła, musi wejść w nomenklaturę zawodową i odpowiednio programy. A ponieważ handel zagraniczny nie jest przewidziany dla tego typu szkoły, powinno to być wykreślone. Szkoła dostała pierwotnie odmowę przyznania uprawnień szkół publicznych, nie zrezygnowała jednak z ubiegania się o nie. W tej chwili trwa wizytacja, po której kuratorium wyda opinię w tej sprawie. W każdym razie handlu zagranicznego być nie może i dyrektor Cienkowski był o tym uprzedzony. Jeśli szkoła w perspektywie chce takie uprawnienia uzyskać, powinna się od razu do tego dostosować, aczkolwiek obowiązek prawnego nie ma. Obowiązek taki ma dopiero w momencie wystąpienia o uprawnienia.

biznesu?

początkowo nie rozumiał, o czym mówię. Potem, gdy uparcie i starannie tłumaczyłem swoją kwestię, stwierdził, że nie ma sensu prowadzić rozmowy na ten temat. Sugerowałem, że jest to dla niego okazja do obrony, gdyż „Życie Warszawy” opublikowało już serię bardzo nieprzychylnych mu artykułów. Wtedy Dyrektor Generalny Zjednoczonych Uczelni powiedział mi, że adwokata nie potrzebuje, sugerując, bym w ogóle porzucił ten temat, bo on już wytoczył proces „Życiu”... dalej było coś o braku czasu i przyjemności rozmawiania ze mną, po czym mój rozmówca odłożył słuchawkę.

W kuratorium, gdzie próbowałem ustalić, co wolno, a czego nie wolno szkołom prywatnym, starszy wizytator Krzysztof Lubański powiedział mi:

— Teoretycznie szkoła na samym początku miała prawo do publikowania ogłoszeń o naborze na handel za-

O opinię w tej kwestii poprosiła kuratorium również badająca zasadność uczniowskich roszczeń, pani prokurator Sienkowska z Prokuratury Rejonowej Warszawa Praga-Południe. Od grudnia przesłuchuje ona też coraz to nowych uczniów, zgłaszających się do prokuratury. Na razie nie może jeszcze powiedzieć, czy postawi właścicielowi szkoły jakieś zarzuty.

Sprawa tkwi więc na razie jakby w zawieszaniu. Dr Cienkowski rozwija tymczasem swój biznes. W „Gazecie Wyborczej” ukazało się ogłoszenie, w którym ktoś poszukiwał kierownika zakładu pogrzebowego. Telefon kontaktowy był telefonem... Szkoła Biznesu i Języków Obcych. Zgłosiłem swoją kandydaturę, ale najwyraźniej nie była ona odpowiednia, gdyż do dnia dzisiejszego nie doczekałem się odpowiedzi.

PRZEMYSŁAW KACAK

nie powie nikt z członków komuny.

Podobnie milczą dziewczyny wykorzystywane w burdelach lub salonach masażu. Z reguły nie przyznają się do tego, co robiły. Zasada ta jest odwrotnie proporcjonalna do wielkości miasta, z którego pochodzą. Na wsi nie ma nawet mowy, by jakaś dziewczyna przyznała się do zgwałcenia w lesie. Strach przed skandalem, wytykaniem palcami i ta typowa polska zaściankowa moralność powodują, że ciemna liczba tego typu spraw jest u nas prawie nie do oszacowania.

To, co się działo z dzieckiem od

● Zgłoszenia

zaginięcia do odnalezienia, nie zawsze więc wychodzi na jaw. — Ponadto podczas meldunku o zaginięciu dziecka rodzice popełniają mnóstwo błędów. Przede wszystkim wybielają swoje dzieci — mówi asp. Alicja Tomaszewska z KGP. — Popełniają w ten sposób ogromny błąd. Przecież policjanci za-

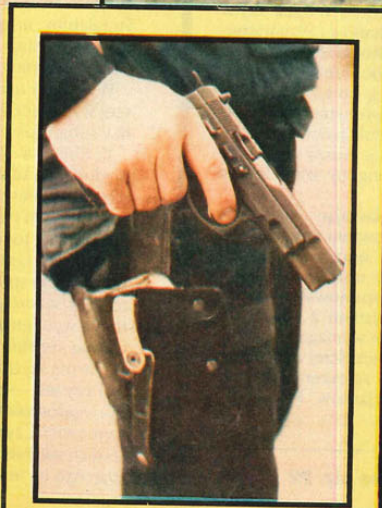
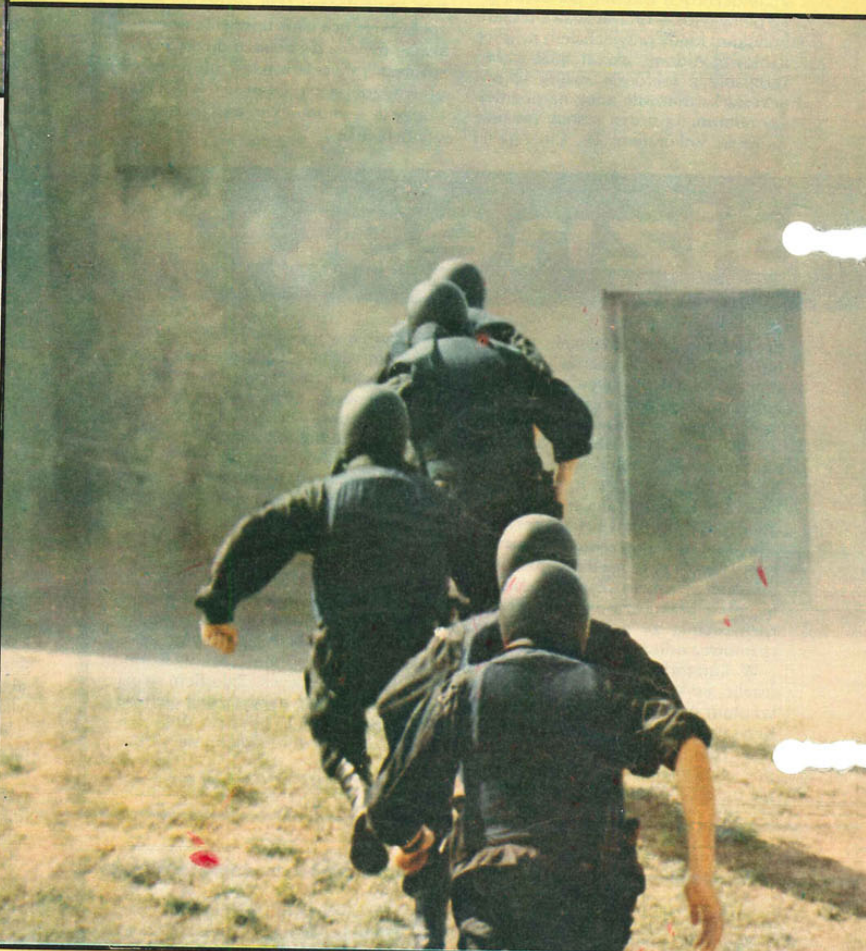
muający się sprawą i tak się dowiedzą, że to np. już któraś z kolei ucieczka z domu albo że dziecko obraca się w środowisku narkomanów czy marginesu społecznego. Rodzice natomiast, choć nieraz o tym dobrze wiedzą, nigdy tego nie ujawniają podczas zgłoszenia o zaginięciu. Wydłuża to tylko okres poszukiwań. Policjanci przez inne źródła informacji muszą się dowiadywać tego, co mogliby wiedzieć od razu.

Poza tym, zgłaszając zaginięcie dziecka rodzice powinni mieć jak najwięcej jego zdjęć oraz znać rysopis, wiedzieć jak było ubrane, co miało przy sobie, jaką dysponowało gotówką itp. A o tym wszystkim z reguły nie pamiętają, a potem wymagają cudów i to natychmiast. Najczęściej wyobrażają sobie, że zaraz po zgłoszeniu do akcji ruszy pluton policjantów, który tylko

dokończenie na str. 22

Białostoc

Były to jedne z wielu ćwiczeń, w czasie których Oddział Antyterrorystyczny przy Oddziale I stoku podnosiła sprawność, którą coraz częściej



kie Tygrysy

których policyjna grupa do
Prewencji KWP w Białym-
ściej weryfikuje samo życie.

Plan gry zakładał, że jeden z budynków komendy został opanowany przez dwóch desperatów uzbrojonych w broń długą. Mimo rokowań mężczyźni odmówili złożenia karabinów.

Do działań poderwano kompanię antyterrorystyczną. Na dach budynku wdrapała się trójka „tygrysów”, która niepostrzeżenie otworzyła właz prowadzący do środka. Sam budynek został otoczony przez policjantów. Ich bezpieczeństwa strzegli roztawieni na okolicznych dachach snajperzy.

Na sygnał dowódcy przez okna do pomieszczeń, w których ukryli się desperaci, jak też i przez dachowy właz zostały wrzucone ładunki ogluszające. Sekundę później ruszył atak policjantów.

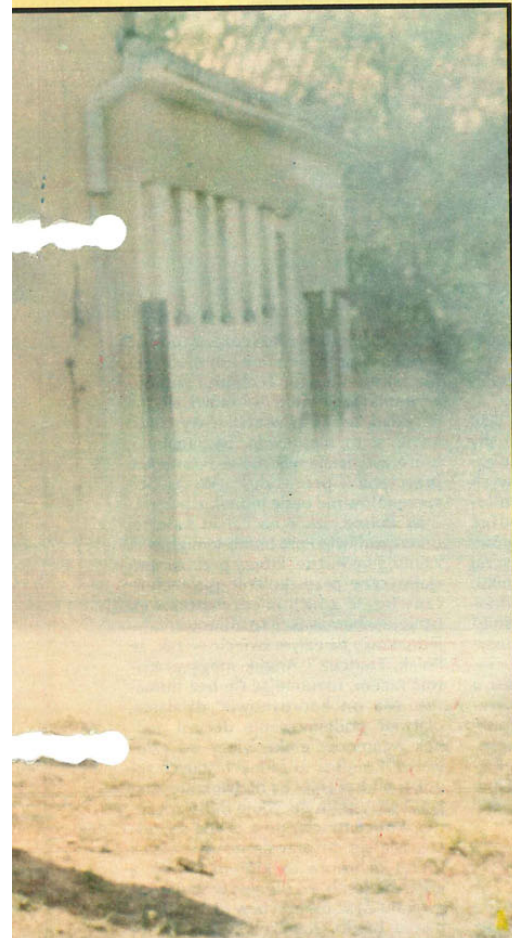
Jeden z napastników został obezwładniony, drugiemu jednak udało się zbiec. Ponieważ taka ewentualność była brana pod uwagę, został zaatakowany i obezwładniony przez funkcjonariuszy, którzy na zewnątrz ubezpieczali kolegów.

Po pierwszej części zajęć omówiono szczegółowo każdy z elementów zakończonych ćwiczeń.

Następnie policjanci przeszli na maty, gdzie ćwiczone sztuki samoobrony i obezwładniania przeciwnika.

Wreszcie na koniec doskonaląc niektóre z elementów sztuki karate – już dla rozgrzewki – rozbijano nie uzbrojoną dłonią płonące stosy dachówek.

tekst i zdjęcia
PAWEŁ SZLACHETKO



UWAŻAJ TO BOMBA



Nie zdziw się, jeżeli pewnego dnia zaczniesz tykać stojący na półce posążek Buddy lub gdy z grającej pocztówki, którą otrzymasz od — życzącego ci „dużo szczęścia” — kolegi wystawać będą jakieś druciki. Ludzka inwencja naprawdę nie zna granic, tak więc bomba może być wszędzie.

Policie na całym świecie raczej niechętnie informują prasę tak o rzeczywistych, jak i o fikcyjnych podłożeniach ładunków wybuchowych. Wychodzą z założenia, że im mniej się o tym mówi, tym lepiej. Narodziny nowożytnego terroryzmu zawdzięczamy wszakże po trochu właśnie mediom. Sensacyjny temat przyciąga miliony widzów i czytelników, dając terroryście możliwość zwrócenia na siebie uwagi. To dzięki porwaniam samolotów czy zamachom bombowym i za pośrednictwem mediów świat dowiadywał się o istnieniu OWP, OAS, ETA, IRA itd. Polska policja do wyjątków nie należy — także nie chciałaby kusić złego, zwłaszcza że realne zagrożenie naprawdę istnieje. Świadczy o tym choćby działalność, rozpracowanej trzy lata temu, grupy terrorystycznej Ludowy Front Wyzwolenie, mającej na swym koncie podpalenie konsulatu radzieckiego i odpalenie świecy dymnej w konsulacie izraelskim. W planach zaś podkładanie autentycznych ładunków wybuchowych.

Jak to się robi nad Wisłą

W warunkach polskich większym niebezpieczeństwem jest jednak chęć wyeliminowania konkurencji lub „uregulowania” rachunków. Pierwszy motyw doprowadził najprawdopodobniej do zniszczenia laboratoriów Kodaka w 1990 roku, drugi zaś to liczne bomby na Wybrzeżu podkładane w samochodach „biznesmenów”. W takich przypadkach ładunki są zwykle dość prymitywne, ale zabijają, ranią i niszczyć mogą na równi z najnowocześniejszymi mechanizmami. Tylko przypadek (otwarcie bocznego okna) uratował właściciela audi, w którym —

po przekręceniu kluczyka w stacyjce — eksplodował kanister benzyny. Zdarzenie to miało miejsce dwa lata temu w Sopocie i było jednym z epizodów odżywiającej co pewien czas wojny między tamtejszymi gangami złodziei samochodów.

W Polsce coraz groźniejsi stają się też różnego rodzaju maniacy lub ludzie z zaburzeniami psychiki. Gdyby 26 lutego 1993 roku ksiądz nie przedłużył mszy o pięć minut, wybuch na ul. Łazienkowskiej w Warszawie zmasakrowałby około 30 osób. W tym roku natomiast szaleje „Tiger”, raz po raz terroryzujący Zawiercie. Kim jest, dlaczego straszy i podkłada ładunki wybuchowe? To, jak na razie, pozostaje niewiadomą. Pewne jest tylko to, że nieźle zna się na swojej robocie.

Terrorysta wcale jednak nie musi mieć obszernej wiedzy na temat materiałów wybuchowych, zapalników itp. Zasada działania jest po prostu zawsze taka sama — pobudzony do działania zapalnik inicjuje eksplozję głównego ładunku. Prymitywną bombę można zmontować, mając dobre wyposażoną kuchnię i wiadomości ucznia technikum elektronicznego. Najczęściej jednak używa się bardziej skomplikowanych mechanizmów, w których tak materiał wybuchowy, jak i zapalnik są produktami fabrycznymi. W Polsce dostęp do tego rodzaju rzeczy jest wprost przerażająco łatwy. Na przykład kopalnie i kamieniołomy zgłaszają rocznie ledwie po kilka przypadków zaginięcia materiałów kruszących, wiadomo jednak, że dotyczy to tylko największych kradzieży, gdy nagle brakuje kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu kilogramów środków wybuchowych. Pojedyncze ładunki, ginące bez śladu, nie interesują nikogo. A pojedyncza,

dwustugramowa laska metonitu umieszczona w odpowiednim miejscu może spowodować zawalenie się paropiętrowego budynku.

Środki wybuchowe różnią się pod względem składu chemicznego i siły detonacji, ale w zasadzie można je zaklasyfikować do dwóch podstawowych grup: eksplodujące powyżej określonej temperatury i reagujące na bodźce udarowe. W praktyce wybuch głównego ładunku powoduje zazwyczaj odpalenie mini-bombki w zapalniku, dające oba rodzaje bodźców jednocześnie. Zapalniki: czasowe, ciśnieniowe, chemiczne, termiczne, akustyczne, elektryczne, uderzeniowe, radiowe dają dużą możliwość wyboru, a zastosowanie ich kombinacji, np. zapalnika czasowo-ciśnieniowego pozwala na precyzyjne wybranie warunków, w jakich nastąpi wybuch. Niekiedy też może to utrudnić pracę ekipie rozminowującej.

Doświadczenie i... szczęście

— W przypadku bomby nie można z góry założyć, że mamy do czynienia z miną przeciwpiechotną czy przeciwczołgową, którą możemy rozbroić w ten lub inny sposób — mówi oficer Komendy Stołecznej Policji (zgodnie z jego życzeniem nie podaje personaliów). — Wszelkiego rodzaju miny-pułapki, jak my je nazywamy, mają to do siebie, że nie wiadomo, jaki materiał został w nich zastosowany, jaki jest zapalnik, i co najważniejsze — jakie poczyniono zabezpieczenia, by ta mina, pozostawiona w tym akurat miejscu, była trudna lub wręcz niemożliwa do rozbrojenia. Podczas akcji ważne jest współdziałanie służb miejskich, które muszą natychmiast odciążyć gaz, wodę i elektryczność od zagrożonego obiektu. Może się bowiem zdarzyć, że bomba będzie podłączona do ogólnego systemu zasilania i jego wyłączenie unieszkodliwi ją. Kiedy już zlokalizujemy ładunek wybuchowy, możemy próbować go poruszyć, uderzyć, co oczywiście może zakończyć się

eksplozją. Jeśli nie, to możemy podjąć próbę wyniesienia miny lub rozbrojenia jej na miejscu. Technik rozminowywania jest wiele — mówi się na przykład, żeby ciąć wszystkie wystające kable, a to nieprawda. Są zapalniki, które zadziałają właśnie w momencie przecięcia przewodu. Wszystkich szczegółów nie będę jednak zdradzał.

W Polsce, jak i na całym świecie, unieszkodliwianiem bomb-lamigłówek zajmują się ludzie, którzy przeszli specjalistyczne przeszkolenie pirotechniczne (część z nich międzynarodowe). Istnieje schemat akcji rozminowania — jednakowy na całym świecie — tak, że Polak, Francuz i Anglik mogą pracować razem, rozumiejąc się bez tłumacza. Ma on koordynować działania, ułatwiać podejmowanie decyzji, jednak ostateczny efekt zależy od człowieka. I nie ma tu żadnych stałych reguł, a podręczniki na niewiele się zdają. O wszystkim decyduje doświadczenie, koncentracja, no i chyba szczęście. Ma się co prawda do dyspozycji sprzęt ochronny, o którym jednak z góry wiadomo, że nie jest w stanie zagwarantować przeżycia w razie popalenia błędu. Kamizelki, koce antyodłamkowe, a nawet specjalny strój — tzw. truteń — składający się ze zbrojonego płytami tytanu kombinezonu i tytanowego hełmu co najwyżej mogą uchronić od śmierci, choć wcale nie muszą. Siła gazów, powstających przy wybuchu jest tak ogromna, że podmuch, wciskający się pod zapięty pod szyję hełm, może urwać głowę człowiekowi, który pracuje w „truteń”.

★ ★ ★

Większość telefonów, ostrzegających o podłożonych ładunkach wybuchowych to fałszywe alarmy. Mimo to żyjemy w potencjalnym zagrożeniu... Te bomby, które eksplodowały, zawsze były całkowitym zaskoczeniem, nikt nawet nie przypuszczał... Ot, po prostu — przekręcasz kluczyk w stacyjce i po tobie.

PRZEMYSŁAW KACAK



FRANCUSKI SZLACHCIC NA TROPIE

Postać pierwszego literackiego detektywa wyszła spod pióra wybitnego amerykańskiego poety, nowelisty i krytyka Edgara Allana Poe (1809–1849). Przeszedł on do historii literatury przede wszystkim jako autor przesyconych klimatem grozy i tajemniczości, kunsztownych artystycznie wierszy (np. „Kruk”, „Dzwony”, „Eldorado”) oraz „groteskowo-arabeskowych” niesamowitych opowiadań („Zagłada domu Usherów”, „Czarny kot”, „Fakty w sprawie pana Waldemara”), będących kwintesencją pierwiastków europejskiego romantyzmu wyrażonego przez pryzmat własnej niespokojnej natury i niezrównoważonej osobowości oraz koncepcji teorii sztuki rozumianej przez autora jako proces „rytmicznego tworzenia piękna” (w poezji) a w prozie jako umiejętne konstruowanie nastroju, stopniowanie napięcia, budowanie sugestywnego opisu. Dużą rolę odgrywała również wnikliwość psychologiczna oraz logika intrygi. Poe jako twórca krótkich, zwężonych form prozatorskich był pionierem rozwoju amerykańskiej noweli (tzw. short story). Został również pionierem (co odkryto dopiero w wieku dwudziestym) opowieści detektywistycznej.

W 1842 roku Edgar Allan Poe opublikował opowiadanie pt. „Zabójstwo przy rue Morgue”, którego centralną postacią był Francuz Cyprian Auguste Dupin. Ten bystry i wnikliwy „le chevalier”, analizując mało uchwytne fakty i szczegóły, potrafił wyjaśnić zagadkę zabójstwa dwóch kobiet w domu przy ulicy Morgue w Paryżu. Zabójstwa, wobec którego policja, z jej szefem prefektem G. na czele, okazała się bezradna. Kim był pierwszy detektyw światowej literatury? Pochodził ze zubożałej rodziny szlacheckiej, ale posiadał znaczne środki materialne prowadząc życie na wysokiej stopie. Mieszał samotnie w Paryżu w otoczeniu książek i antycznych zbiorów. Był zatwardziałym kawalerem oraz namiętnym palaczem fajki. Jego notowania towarzyskie były bardzo wysokie, miał otwarty wstęp do najbardziej wykintnych salonów stolicy Francji. Jego analityczny umysł znany był dobrze paryskiej „śmietance” toteż bez większego skrupowania prefekt G. zwracał się do niego z prośbą o radę i pomoc. Dupin rozwiązywał skomplikowane zagadki za pomocą abstrakcyjnego rozumowania, przenikliwości psychologicznej i szerokiej wiedzy. Niekiedy robił to nie ruszając się z wygodnego fotela i nie odkładając ulubionej fajki piankowej. Jednak, gdy sytuacja wymagała działania, opuszczał przytulne mieszkanie na trzecim piętrze domu nr 33 przy ulicy Donot w dzielnicy Saint Germain i uzbrojony w pistolet ruszał do akcji zadziwiając szybkością i rezultatem zarówno pocziwego prefekta, jak i swego nie wymienionego z nazwiska ani z imienia przyjaciela, narratora opowieści o jego przygodach.

Osobie i działalności Dupina poświęcił Edgar Allan Poe trzy opowiadania. Po „Zabójstwie przy rue Morgue” ukazały się: „Tajemnica Marii Roget” (1842) oraz „Skradziony list” (1845). Ten ostatni utwór uważany jest za największe osiągnięcie autora w dziedzinie raczkującego wówczas gatunku jakim była literatura kryminalna. Krytyka XX wieku uznała go za arcydzieło noweli detektywistycznej. Dupin rozwiązuje w nim zagadkę ukrycia listu wykradzonego królowej Francji przez wyrachowanego i podstępного ministra D. Policja szuka listu wszędzie: w apartamentach paryskich ministra, w jego wiejskiej posiadłości, w pokojach służby, karocy. Policjanci przebrani za reżymistów, pod pozorem napadu rabunkowego, dokonują rewizji osobistej ministra. Wszystko na próżno. I wówczas do akcji wkroczył monsieur le chevalier Dupin. Zapalił fajkę, pomyślał, zaczął zainscenizować drobne wydarzenie na ulicy przed pałacem ministra. Złożył wizytę w domu tego ostatniego zakładając zieleń okulary, wychodząc „zapomniał” złotej papierošnicy. Wiedział już gdzie ukryty został list i co należy zrobić, aby go odzyskać.

A oto fragmenty tego opowiadania prezentujące sposób rozumowania detektywa pozwalający mu na rozwiązanie zagadki. Auguste Dupin relacjonuje przyjacielowi, w jaki sposób wpadł na trop.

W miarę jednak, jak zastanawiałem się nad śmiałą, rzutką i przezorną umysłowością ministra D., nad tym, iż dokument ów musiał mieć zawsze pod ręką, o ile chciał go użyć we właściwej chwili, wreszcie nad niewzruszoną pewnością, z jaką utrzymywał prefekt, iż nie jest on dostępny dla zwykłych jego poszukiwań — tym silniejszego nabierałem przeświadczenia, iż minister chcąc ukryć ów list, wpadł na przenikliwy i roztropny pomysł, by nie ukrywać go wcale (...). Niepodobna — rozumowałem — żeby był taki słaby i nie wiedział, iż najniebezpieczniejsze i najtajemniejsze skrytki jego pałacu będą równie jawne, jak najpospolitsze schowki dla oczu, iglic, świdrow i szkieł powiększających prefekta. W końcu uświadomiłem sobie, że nieodzwrotnie będzie musiał dążyć do prostoty (...). Może jeszcze pamiętasz, jak do rozpunku śmiał się prefekt, kiedy za pierwszą jego bytnością wyraziłem się, że owa zagadka może dlatego jest tak bardzo kłopotliwa, iż za nadto leży jak na dłoni.

Edgar Allan Poe napisał jeszcze dwa opowiadania z wątkiem detektywistycznym — „Złoty żuk” oraz „Ty nim jesteś”, ale bez postaci Augusta Dupina.

PIOTR KITRASIEWICZ

Fragmenty „Skradzonego listu” w tłumaczeniu Stanisława Wyrzykowskiego.

1990

- 2 czerwca — „Oddział 13 grudnia” atakuje butelkami z benzyną konsulat radziecki w Gdańsku-Wrzeszczu.
- 7 czerwca — ta sama grupa podkłada petardę w gdańskim DOKP, atakuje przy użyciu granatu łzawiącego biura PLL LOT oraz instaluje ładunek wybuchowy w siedzibie gdańskich redakcji gazet przy ul. Targ Drzewny. Tylko przypadkiem jeden z redaktorów nie został zabity w wyniku eksplozji, jaka nastąpiła w momencie otwierania drzwi do ubikacji.
- 5 października — zniszczenie dwóch laboratoriów „Kodaka” w Warszawie.

1991

- 7 stycznia — Piotr R., przywódca Ludowego Frontu Wyzwolenia powstałego po rozpadzie „Oddziału 13 grudnia” detonuje granat łzawiący w konsulacie izraelskim.
- 22 lipca — ktoś detonuje granat przed drzwiami klubu „Park” w Warszawie.

1992

- 21 lutego — nieznani sprawcy ostrzeliwiają, a następnie obrzucają ładunkami wybuchowymi prywatną posesję w Michalinie.

1993

- 26 lutego — eksplozja przed kościołem przy ul. Łazienkowskiej w Warszawie.

1994

- 7 marca — w kantorze-lombardzie w Poznaniu wybuch granat wrzucony przez szybę wystawową.
- 29 marca — w pobliżu domu łódzkiego przedsiębiorcy Mirosława P. wybuch bomba podłożona przez nieznanych sprawców.
- 30 marca — wybuch bomby w „Multi Pubie” na warszawskiej Saskiej Kępie.

	1991	1992
Liczba: ładunków, jakie eksplodowały	20	41
unieszkodliwionych	22	45
falszywych alarmów	922	1795

WYBUCHNIE U WAS BOMBA

Pracownicy kilku warszawskich firm wróciwszy po świętach do pracy przeżyli prawdziwy horror. Jako pierwszą korespondencję odebrali bowiem nadaną faxem informację następującej treści: „O godzinie 10.05 wybuchnie u was bomba! To nie są żarty!”. Natychmiast powiadomiono policję, która rozpoczęła obowiązuje w takich przypadkach działania. Pracownicy musieli opuścić pomieszczenia, a ekipa pirotechników wraz z psem szkolonym do wykrywania ładunków wybuchowych przeszukiwała budynek metr po metrze. Trwało to kilka godzin i na szczęście w każdym z owych kilku przypadków alarm okazywał się fałszywy.

Jednocześnie inna grupa policjantów, z KRP Warszawa-Mokotów, rozpoczęła poszukiwania nadawcy owego „dowcipnego” faxu, który być może wcale o tym nie wiedząc, zostawił wskazówki o sobie, na faxie bowiem zawsze widnieje numer telefonu nadawcy. Okazało się, że numer ten należy do pewnej firmy handlującej częściami samochodowymi. Właściciel tej firmy oświadczył jednak, że faxu nie posiada od kilku dni, oddał go bowiem znajomemu właścicielowi warsztatu samochodowego w ramach rozliczeń. Wkrótce okazało się, że ten również nie posiada faxu, ponieważ dał go jednemu ze swoich pracowników. I tak po nitce do kłębka wyszło na jaw, że syn owego pracownika w czasie świąt wielkanocnych urządził sobie doskonałą zabawę. Wypisywał na kartkach flamastrem ostrzeżenia o wybuchu bomby i wysyłał je do firm, których adresy znalazł w ogłoszeniach w gazecie. Uważał to za dobry świąteczny dowcip i nie widział w tej zabawie nic złego. A był to nie nastolatek, lecz 20-letni młodzieniec. „Dowcipniś” został zatrzymany do decyzji prokuratora. Sprawę prowadzi KRP Warszawa-Mokotów.

E. S.



Na administracyjnej mapie województwa katowickiego Ruda Śląska jest ośrodkiem znacznym różnicami terytorium i liczbą ludności. Wielkie zbrodnie zdarzają się tu wyjątkowo. Przed czterema laty psychopata zwolniony przedterminowo z więzienia udusił w halembskim lasku dwóch chłopczyków, rok później, w Kochłowicach, recydywista wypuszczony na przepustkę, zgwałcił i zamordował uczennicę podstawówki, w zeszłym roku w Bielszowicach brat zabił, rozkawałkował i spalił w piecu brata.

Dzięki wysiłkom rudzkiej policji sprawy tych od-

rażających zbrodni zostali ujęci. Sukcesów organów ścigania było zresztą więcej: schwytanie zabójcy kobiety, której zmurszałe zwłoki dopiero po dwóch latach od śmierci znaleziono na wysypisku śmieci w Orzegowie, czy dopadnięcie, po trzech latach, i to aż w Trzebieży, mordercy stróża z wireckiej szkoły.

Rok bieżący do owej listy osiągnięć dopisał kolejne pozycje. Zanim jednak tak się stało, rudzcy policjanci przeżyli trzy długie, stresujące miesiące, przez które ciążyła im świadomość trzech nie wykrytych zbrodni.

TRZY ZABÓJSTWA

ADAM K. PODGÓRSKI

TRUP PIERWSZY. 29 GRUDNIA 1993 R.

Zwłoki 43-letniej Doroty H. odkryła jej dwunastoletnia córka Agnieszka, wróciwszy zimowym zmierzchem od babci, gdzie przebywała przez święta. Mieszkanie, w typowych familokach „Na Kaufhausie”, dziś już wyburzanych, było zamknięte na klucz, wyziębione, puste. Dziewczynka nie od razu spostrzegła zakrwawione zwłoki matki, leżały na łóżku pod stertą pierzyn. Dokonawszy przerażającego odkrycia, z płaczem pobiegła do nowobytomskiej komendy. Zmasakrowane ciało Doroty H. spoczywało na łóżku na wznak, z rozrzuconymi nogami. Przed zgonem została zgwałcona. Krew na ścianach, rozbryzgi mózgu na suficie, dowodziły, że śmierć spadła na nią ze straszliwym impetem. Medyk sądowy ujawnił wielorakie, ofensywne obrażenia twarzy i czaszki denatki, jej klatki piersiowej, tułowia i rąk. Rany rąbane, tłuczone, klute oraz cięte zadano najprawdopodobniej różnymi narzędziami, co sugerowało, że sprawca działał z wyjątkowym okrucieństwem i wyrachowaniem.

Sądowo-lekarskie oględziny zwłok doprowadziły do stwierdzenia, że zgon nastąpił mniej więcej dobowo wcześniej. Z mieszkania zginęło radio tranzystorowe, kupione niedawno za około 70 000 złotych, plik erotycznych czasopism oraz... kilka lampek choinkowych, wykręconych z oprawek kompletu.

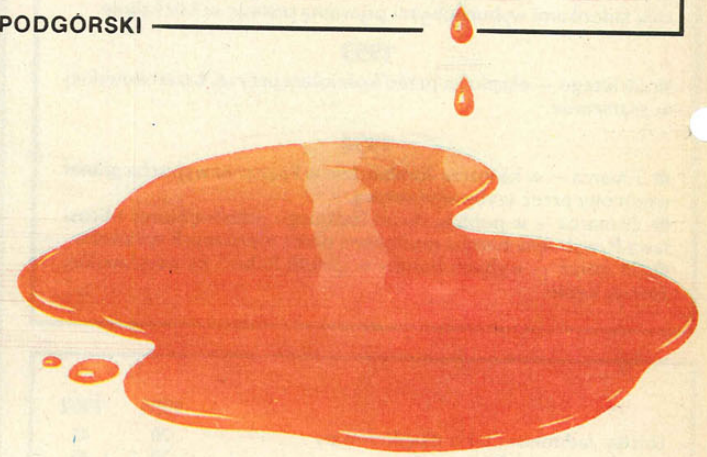
Dorota H., rencistka, wiodła swobodne i bujne życie towarzyskie. Jej mieszkanie stanowiło typową melinę, przez którą nader chętnie przewijało się różne szemrane towarzyszy. Najczęściej męskie. Otoczenie już dawno pogodziło się z uciążliwą sąsiadką, która w nocy balowała, we dnie natomiast „tukała się po sieni i ryczała”.

Krytycznego popołudnia, nikt jednak nic nie słyszał i nie widział, ale nie ulegało wątpliwości, iż gdyby nawet Dorota H. nie wiadomo jak głośno wzywała pomocy, to i tak nie znalazłby

się człowieka, który by z takową pospieszył. Nikt bowiem nie reagował już na hałasy stale przez nią powodowane.

— Szukając sprawcy poszliśmy najszerszym z możliwych frontów — wspomina nadkom. Jerzy Karczewski, zastępca komendanta KRP w Rudzie Śląskiej. — Spróbowaliśmy najpierw doliczyć się bywalców „metry” u pani H. Do tego należało dorzucić liczny zastęp kolegów 19-letniego syna zabitej, który zresztą też znalazł się w kręgu podejrzewanych. Dowiedliśmy bowiem, że gdy matka jego już nie żyła, chłopak odwiedził dom z paroma kumplami. Przynieśli świecidełka na choinkę oraz lampki, gdyż zamierzali przystroić mieszkanie na sylwestra. Pokręcili się trochę po pomieszczeniach, ale zwłok Doroty H. nie spostrzegli. Podejrzewaliśmy również jej konkubenta, który zachowywał się — przyznajmy — dość niecodziennie. Z daleka, czając się za budynkami, śledził pracę ekipy policyjnej. Zatrzymany również zachowywał się jak typowy sprawca, kłamał, wikał się w wykretach. Ba, miał nawet powód, aby zabić H., ta bowiem przepędziła go niedawno, dowiedziawszy się, że jest „pedałem”. Na dodatek właśnie 28 grudnia wyprał sobie ciuchy. Zastanawiał nas nagły atak schłodności u człowieka, który na co dzień nie bardzo o nią dbał.

Poza tym nie było najmniejszego punktu zaczepienia. Żadnego świadka, żadnego tropu. Nie odnaleziono narzędzi zbrodni, mimo przeszukania śmietników na całej „Fryncicie”, wysypiska śmieci i hałd. Kolejne przedsięwzięcia organów ścigania trafiały w pustkę. Wałkowano rozmaite wersje osobowe, poza dwiema wcześniej wymienionymi, siłą rzeczy ogólne. Zakładano, że sprawca lub sprawcy wywodzą się z grupy osób znanych denatce, stałych uczestników popijatek. Druga hipoteza opierała się na przypuszczeniu, iż zabójstwa dokonała osoba przypadkowa, poznana przez Dorotę H. 28 grudnia i przyprawiona do domu. Pewne domniemania nakazywały objać uwagę kręgi rodzinne denatki, w najszerszym tego terminu



znaczeniu. Ten zamiast był słuszny i ostatecznie wiodł do zabójcy, którego ojciec, spowinowacony z H., jak „siódma woda” z kisleem, czasami ją odwiedzał.

TRUP DRUGI. 16 MARCA 1994 R.

Zimne i sztywne ciało Stefani B. zastali sanitariusze odwożący ze szpitala jej męża, który po śmierci brata wpadł w szok wymagający hospitalizacji. Po otwarciu drzwi, które nie były zamknięte od zewnątrz, odwieźli mdlejącego rekonwalescenta z powrotem.

Martwa, 61-letnia kobieta, opierała się w pozycji półleżącej o kredens w pokoju stołowym. Została uduszona rajstopami, zaciśniętymi na szyi. Oprócz bruzdy od zadzierzgnięcia, nie miała innych obrażeń. Zgon nastąpił co najmniej dwie doby wcześniej. Pootwierane szuflady wskazywały na rabunkowy motyw zbrodni. Kiedy mąż denatki mógł już odpowiadać na pytania policji, stwierdził, że poza odtwarzaczem wideo marki Otake nic więcej nie zginęło. Pieniądże przechowywały się w ukrytym schowku.

Państwo B. mieszkali we własnym domu przy ulicy Łącznej, tuż koło cmentarza. Niby w samym centrum miasta, niby na uboczu. W okolicy stało kilka podobnych willi... Wszyscy się

tu znali, żyli ze sobą w zgodzie. Stefania B. handlowała na targowisku, przed dawnym komitetem miejskim partii. Była kobietą ostrożną, nie wpuszczającą w prógi żadnych obcych. Tym bardziej pod nieobecność małżonka. Ale przecież w dniu, kiedy zaskoczyła ją śmierć, dobrowolnie odpięła łańcuch blokujący dostęp do wnętrza. Ten fakt dowodził, że musiąla znać przybysza.

Odmienny modus fasciendi zabójcy w zasadzie wykluczył związek między zabójstwem Doroty H. i Stefani B. Wszakże nie do końca go eliminowały, więc policja wraz z prokuraturą musiały rzecz uwzględnić w rozważaniach. Porównywać oba zdarzenia nakazywała ich bliskość przestrzenna, motyw rabunkowy i tropy prowadzące w koligacje rodzinne denatki.

W poniedziałek, około godziny 21.00 sąsiadka widziała mężczyznę zamykającego po cichu furtkę wiodącą na podwórkę państwa B. Niosąc dużą reklamówkę oddalał się zrazu wolno, przyspieszając, kiedy zorientował się, że na niego patrzy. Portretu pamięciowego tego osobnika nie udało się sporządzić. Kobieta widziała tylko jego sylwetkę. Powierzchnowy opis nieznanego uzupełnił nieco sąsiad B.

Policja musiała zacząć robotę od tego, od czego mogła, czyli sprawdzenia powiązań rodzinnych państwa B. Na ten operacyjny podkład, jak określa

nadkomisarz Karczewski, trafiła ważna wiadomość. Otóż pewną mieszkańkę Nowego Bytomia odwiedził — przytyszczysz ze sobą odwiedzając — brat z Bytomia, który, według wszelkich znaków na niebie i ziemi, powinien siedzieć spokojnie w tamtejszym zakładzie karnym.

Policja szybko ustaliła, że 23-letni Jan S. — daleki powinowaty męża Stefani B. — jest typem drobnego złodziejaszka. Wypuszczony na przepustkę z zakładu karnego, powinien wrócić w więzienne pielesze 14 marca, ale wcale za nimi nie tęsknił. Jego wygląd pasował do ogólnego opisu mordercy „z łącznej”.

Ujęty Jan S. przyznał się do zgładzenia pani Stefani. Rzeczywiście, znaga go wcześniej, gdyż przed rokiem odwiedził dom B., chodząc po prośbie. Uraczyli go wtedy posiłkiem, dali trochę ubrań i co nieco pieniędzy. Podobnie było i tym razem, czyli 14 marca. „Daleka ciotka” wpuszcza młodego człowieka do domu, poczęstowała sutą kolacją. Jedząc S. spoglądał na budzący jego pożądliwość wideoodtwarzacz. Gdy dowiedział się, że „wujek” jest w szpitalu, uduśił dobroduszną kobietę. Przenocowawszy u siostry sprzedał łup za 200 tysięcy w pobliskim warsztacie naprawczych. Na części.

Prokurator Marek Ryś przedstawił Janowi S. zarzut zabójstwa Stefani B., to jest przestępstwa z art. 148 § 1 k.k. w związku z art. 210 k.k. oraz w związku z art. 60. Z zabójstwem Doroty H. Jan S. nie miał nic wspólnego.

TRUP TRZECI. 18 MARCA 1994 R.

Prokuratorom i policjantom męczącym się nad zagadką zabójstwa Stefani B. w najczarniejszych snach nie przyszło się chyba, że za kilkadziesiąt godzin od znalezienia jej ciała, przyjdzie im rozwikływać kolejną straszną zbrodnię.

W piątek, 16 marca, Adam N., 23-letni górnik kopalni „Zabrze” w Bielszowicach, nie zgłosił się na szychte. Dwa dni później ojciec odkrył jego zwłoki w mieszkaniu przy ulicy Kokota. Adam N. zaledwie przed miesiącem przeprowadził się do kawalerki na poddaszu, otrzymanej z kopalnianego przydziału.

Zabity chłopak leżał na podłodze. Rozebrany. Liczne rany klute, cięte, rąbane i tłuczone, umiejscowione głównie w obrębie głowy, szyi i klatki piersiowej, przemieniły jego ciało w krwawą tłumok. Obok wałały się dwa noże. Pierwszy z ostrzem wygiętym, drugi ze złamanym. I jeszcze metalowy tłuczek do mięsa z odłamaną rękojeścią, dającą wyobrażenie o sile razów zadawanych przez bezwzględny mordercę.

— Zdawało się nieprawdopodobne — mówi Jerzy Karczewski — by takiej janki mógł dokonać jeden tylko człowiek.

Rodzina bestialsko zamordowanego chłopaka podała, że z pokoju zniknął komputer „Amiga” z osprzętem, radio z budzikiem i magnetofon. Brakowało również paru innych dro-

biażgów, torby podróży oraz dokumentów osobistych Adama. Straty spowodowane rabunkiem oszacowano na 13 milionów złotych.

Adam N. był chłopakiem spokojnym i dobrze wychowanym. W momencie jednak, gdy wymknął się spod kurateli rodziców i rzucił w wir samodzielnego życia, smakował w pełni jego nieznane dotąd uroki. Kawiarnie, dancingi, balangi — temu bez reszty się poświęcał. Jego mieszkanko już po tygodniu stało się znaną w okolicy przystanią dla młodych, nie dopitych mężczyzn. Jak zdołano ustalić, odwiedziło je przez ten czas co najmniej kilkadziesiąt osób. Choć więc zakładano, że sprawcą mordu najpewniej będzie jakiś dobry znajomy Adama, wiedzący o jego nowym lokum, wcale nie było to aż tak oczywiste.

Na pierwszy ogień przeszukała poszła rodzina i bliscy — więc kumple Adama N. Z ich zeznań wyłonił się obraz ostatnich godzin jego życia. 15 marca — „w Matki Boskiej Pieniężnej” wzięwszy wypłatę pojechał do matki, pracującej w sklepie na Czarnym Lesie. Potem odwiedził kolegę do Bielszowic i pomagał mu zainstalować pralkę automatyczną. Około 20.00 wpadł do domu rodzicielskiego, oddał ojcu francuski klucz. Dalej wieści o nim się urywały.

Policja rozlepiła w kopalni „Zabrze” fotokomunikaty, prosząc o kontakt osoby, mogące rozszerzyć zasób informacji o jego śmierci. Podobne ogłoszenia wyemitowano w telewizyjnych „Aktualnościach” oraz w prasie lokalnej.

Reakcja była niemal natychmiastowa. Pewna telefonistka oświadczyła, że rozmawiała z Adamem, oczywiście przez telefon, 15 marca o godzinie 20.30. Znali się, a nawet chyba sympatyzowali. Według tej relacji chłopak dzwonił z budki. Wkrótce wyjaśniło się, że dziewczyna pomyliła dni.

Inny zgłaszający się dobrowolnie człowiek, widział jak 15 marca, około pół do jedenastej w nocy, przed blok przy ul. Kokota 115 podjechała taksówka. Wsiadło z niej dwóch mężczyzn, jeden z flaszką wódki w dłoni. Weszli do sieni; minutę później zapaliło się światło na poddaszu. Był to niezmiernie istotny szczegół, na stole u Adama N. bowiem rzeczywiście stała pusta butelka po wódce „Krakus”. Kolejny świadek spotkał Adama na przystanku dwie godziny wcześniej. Chłopak czekał na „7” jadącą w stronę Wirku.

Policja zaapelowała do rudzkich taksówkarzy, prosząc o zgłoszenie się tych spośród nich, którzy tamtego wieczora odbywali kursy do Bielszowic. Nie odpowiedział żaden. Sprawdzano również listy pacjentów opatrywanych 15 albo 16 marca w rudzkich szpitalach, przychodniach, ambulatoriach. Analogiczne ustalenia czyniono w placówkach leczniczych miast ościennych. Wyszło bowiem na jaw, iż zabójca podczas masakrowania Adama N. sam się pokaleczył.

Nazajutrz po pogrzebie, do domu państwa N. przybyło dwóch niezna-

Dokończenie na str. 22

● Przemoc w RPA

W statystykach pojęcie przemocy z motywów politycznych lub kryminalnych jest niekiedy trudne do ustalenia. W 1992 roku w Republice Południowej Afryki rejestrowano 8,5 zbrodni na 1000 mieszkańców. Ryzyko padnięcia ofiarą zabójstwa w Johannesburgu było siedem razy większe aniżeli w Rio de Janeiro lub w Nowym Jorku. Johannesburg klasyfikowano jako „międzynarodową stolicę zabójstw”. Południowoafrykańska policja przypuszcza, że 65 proc. zbrodni jest popełnianych z powodu braku pracy, czyli wielkiego bezrobocia i ubóstwa, szczególnie wśród murzyńskiej ludności.

Komisja Praw Człowieka podała, że w 1993 roku w RPA zanotowano 4364 zabójstwa na tle politycznym. W pierwszych miesiącach 1994 roku liczba tego rodzaju zbrodni uległa podwojeniu.

● Zabójstwo wiceministra SW w Gruzji

Giya Goloua, wiceminister spraw wewnętrznych Gruzji oraz dwaj funkcjonariusze służby bezpieczeństwa z jego ochrony zostali zamordowani w Tbilisi przez nieznanych morderców. Minister Goloua osobiście kierował operacjami przeciwko tamtejszej mafii, w czasie których kilku jej członków zostało zabitych w Moskwie, w ramach zaostrożonej walki przeciwko zorganizowanej przestępczości w Rosji.

● Szwajcarski rekord

Szwajcarskiej policji udało się przechwycić rekordową w tamtejszych kronikach ilość kokainy. Skonfiskowano 50 kg tego narkotyku, ukrytego w kilku samochodach należących do członków międzynarodowego gangu handlarzy, rozbitego po śledztwie trwającym wiele miesięcy i rozciągającym się na Niemcy i Panamę. Pięć osób aresztowano w Szwajcarii oraz kilka w Niemczech.



Populacja w zakładach karnych w Rosji wzrosła z 440 000 więźniów w listopadzie 1992 roku do 815 000 w lutym 1994 roku, w tym 250 000 osób przebywało w obozach prewencyjnych — oświadczył rosyjski minister spraw wewnętrznych deputowanym, zaniepokojonym gwałtownym wzrostem przestępczości kryminalnej. „W 1993 roku, podległe mi służby zatrzymały o 600 000 osób więcej aniżeli w roku poprzednim” — stwierdził minister Jerin.



● Udaremniony przemyt

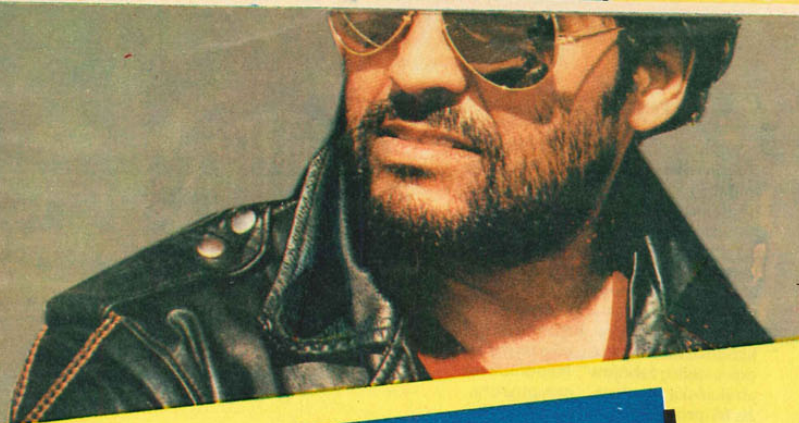
Francuscy policjanci i celnicy przechwycili 126 200 butelek napojów alkoholowych w jednym z magazynów w Salvetat-Saint-Gilles, w pobliżu Tuluz, pochodzących z Portugalii. Skonfiskowano 60 000 litrów białego wina, 60 000 butelek piwa, 6000 butelek porto oraz 200 wódki, czyli przemysł wartości ponad dwa miliony franków. Napoje te przeznaczone były, z pominięciem fiskusa, dla barów i restauracji Tuluz i okolic.

● Przemytnicze gołębie

W przeszłości wykorzystywane szeroko w łączności, do celów wojskowych, wywiadowczych i pocztowych, gołębie mogą służyć również... handlarzom narkotykami. Dwa lata temu francuska policja wykryła siatkę przemytniczą, która posługiwała się gołębiami do przemykania małych opakowań kokainy między Francją a Holandią.

Francuski Senat przygotowuje reformę przepisów o hodowli i wykorzystywaniu gołębi pocztowych. Kontrola realizacji tych przepisów pozostanie pod nadzorem ministerstwa spraw wewnętrznych i obrony.

oprac. MARIAN OWCZAREK



FABRYKA DOKUMENTÓW

EDWARD NOWAK

Wysoki, barczysty mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce i dżinsach leniwym krokiem przemierzał podwórze. Na widok kilku osób, które wysiadły z poloneza i podeszły do bramy w chyłnym się ku ziemi płocie, groźnym gestem wsunął prawą dłoń do kieszeni spodni. W tymże momencie spoza płotu rozległo się stanowcze wezwanie:

— Ręce do góry i ani kroku dalej! Policja!

Znając konsekwencje takich słów, mężczyzna stojący na podwórku uniósł ramiona znacznie wyżej, niż było to konieczne. W chwilę później bez oporu pozwolił przeszukać swe kieszenie. Broni przy sobie nie miał.

— Co pan tu robi? — zapytał funkcjonariusz KWP w Skierniewicach.

— Pilnuję — odpowiedział mężczyzna w skórzanej kurtce i dżinsach. — A ponadto karmię psa i kozy. Za to mi płacą.

— Kto i ile?

— Dwieście tysięcy za dobę. Dla mnie jest to bez znaczenia, od kogo tę forszę dostaję.

— No, ale konkretnie od kogo?

— Powiedziałem już, że to bez znaczenia. Czasem podrzuca mi pan K., a bywa, że kto inny. Jak popadnie.

Miał domek, mocno szarpnięty zębem czasu, sprawiał wrażenie opustoszałego. Szopa i komórki kończyły swój żywot. Z ich wnętrza dobiegało pobekiwanie trzech kóz. Stanowiły one, poza psem, jedyny żywy inwentarz.

Na tle rozpadających się zabudowań zdumiewały trzy samochody ustawione w podwórku: mercedes, ford i porsche. Pierwszy z rejestracją warszawską, drugi — szczecińską, a trzeci — niemiecką. Kto je tu zaparkował? Do kogo należały? Dozorca wzruszał ramionami.

— Mnie to nie obchodzi — powiedział.

Policjanci z udziałem dozorca, rozpoczęli przeszukiwanie. Oprócz zdobytych informacji, nic nie znamionowało, że ta czynność będzie obfitowała w sensację. Oto na strychu, poza stołem rupieci i starych naczyń, odkryto zastawioną deskami komorę. Pod jedną ze ścian tej komory stał wojskowy ka-

rabinek kal. 7,62 mm (nr KC 01804), a obok drewniana skrzyneczka pełna amunicji (81 sztuk) do kbk i (12 sztuk) do pistoletu typu Browning kal. 7,65.

Broń i amunicja zdadne były do natychmiastowego użytku. Komu miały służyć? Jakże było ich przeznaczenie?

— Niczego w tej sprawie nie wiem — odpowiadał raz po raz dozorca. — Zapytajcie pana K. Może on będzie coś wiedział.

W toku skrupulatnych przeszukań funkcjonariusze nie pominęli również stojących na podwórku samochodów i podłączonej do jednego z nich kempingowej przyczepy. Właśnie ona kryła w swojej kabinie niezwykle przedmioty. Były to głównie pieczęcie, stemple i czyste blankiety różnych dokumentów: polskich i zagranicznych.

Osoby dysponujące ujawnionymi w przyczepie kempingowej stemplami mogły np. wydawać innym prawa jazdy, dowody rejestracyjne pojazdów i dowody osobiste, przeróżne zaświadczenia, a nawet... dyplomy lekarskie Akademii Medycznej w Warszawie.

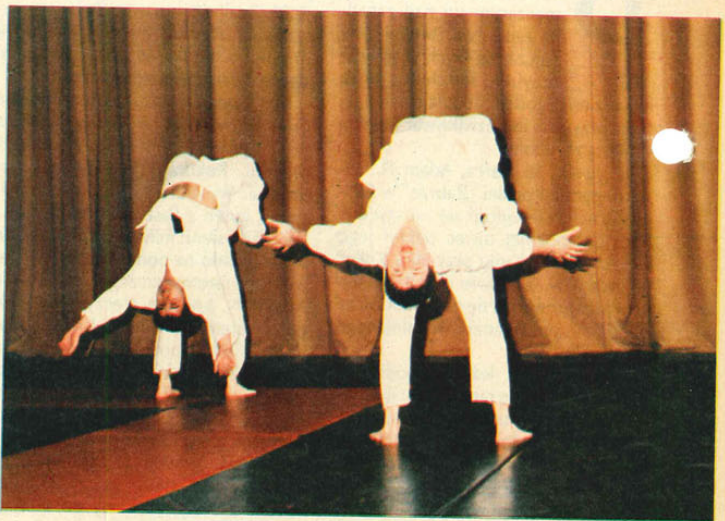
I co niezmiennie istotne, dowody takie były (a może są?) nie do podważenia. Zwłaszcza w mariażu: oryginalny blankiet i doskonale podrobione pieczęcie. A wszystko wskazuje na to, że do tego zmierzali przestępcy. Zdolali już przecież zgromadzić sporo autentycznych dokumentów in blanco, m.in. 106 czystych blankietów praw jazdy, 8 „książeczek” dowodów osobistych, pochodzących z włamania do Urzędu Miasta i Gminy w Suchedniowie, 70 blankietów dowodów rejestracyjnych skradzionych podczas włamania do Wydziału Komunikacji Urzędu Rejonowego w Nowym Dworze Mazowieckim, 30 sztuk niemieckich blankietów prawa jazdy, 25 bułgarskich, dwa blankiety szwajcarskie dowodów rejestracyjnych, oryginalne faktury i dokumenty przedsiębiorstw oraz instytucji państwowych, w tym Urzędów Celnych wraz z pieczęciami, faktury (in blanco) zakupu samochodów, czyste blankiety potwierdzeń Ambasady RP w Bonn oraz mnóstwo innych dokumentów służących do legalizacji skradzionych samochodów.

Kto z tych przedmiotów robił już lub miał robić użytek?

— Nie wiem, nie mam z tym nic wspólnego — twierdził dalej dozorca.



Chłopak w mundurze moro trzyma na muszce pistoletu kierowcę białego fiata. Poleca wyłączyć silnik, wyjąć kluczyki, opręć ręce na szybie. Z boku do pojazdu podchodzi drugi policjant. Na przegubie kierowcy zatraskują się kajdanki, rękę unieruchamia dźwignia. Jeszcze chwila i bandyta leży na masce. — Dobra — mówi do policjanta. — Wystarczy. Teraz moja kolej — prostuje się, rozciera poobijany nadgarstek. Zamieniają się miejscami.



Przeczyła temu logika. Mężczyzna przebywał w posesji przez całą dobę. Co miał robić? Czy tylko karmić i patrzeć na kozy? Nawet z nudów musiał obejrzeć wszystkie dostępne kąty. Czy ludzie go wynajmujący nie wzięli tego pod uwagę? Wyjaśnienie tej kwestii pozostawmy jednak śledztwu.

Po zakończeniu przeszukania funkcjonariusze podzielili się na dwie grupy. Jedna pojechała do Warszawy, druga została w posesji. Zadaniem pierwszej grupy było zatrzymanie i

przesłuchanie Marka K., właściciela gospodarstwa w Musulach (gm. Żabia Wola, rejon — Żyrardów). Ustalono, że posiada mieszkanie w bloku przy ul. Piotra Skargi. Druga grupa funkcjonariuszy urządziła zasadzkę.

Nie czekali długo. Niebawem zjechał przed bramę samochód osobowy marki Audi 90, z rejestracją warszawską. W kabinie pojazdu siedziało dwóch mężczyzn. O swym przyjeździe dali znać krótkim dźwiękiem klaksonu.

Za zgodą policjantów dozorca Hen-

W Wyższej Szkole Policji w Szczytnie trwają zajęcia z technik interwencji dla roku zerowego. Młodzież, która trafiła tu prosto ze szkół średnich uczy się, jak skutecznie i bezpiecznie zatrzymywać podejrzane pojazdy i osoby, jak wchodzić do pomieszczeń, w których kryje się przestępca. WSPol. to jedyna w Polsce policyjna uczelnia zajmująca się kształceniem przyszłych kadr dowódczych. Przygotowuje słuchaczy do służby na wszystkich stanowiskach oficerskich w Policji, a także (wspólnie z CSSG w Kętrzynie) w Straży Granicznej. Absolwenci otrzymują dyplom ukończenia studiów zawodowych I stopnia: tytuł magistra mogą później zdobyć kontynuując naukę na określonych wydziałach niektórych uniwersytetów. Otrzymują też prawo do awansu na stopień podkomisarza, choć sam awans będzie zależał od decyzji przełożonych w terenie.

Dla dziewcząt i chłopców przychodzących z cywila studia trwają 4 lata. Zaczynają się od tzw. roku zerowego, obejmującego półroczne przeszkolenie obowiązujące każdego policjanta i sześciomiesięczną praktykę w terenie. Podczas przeszkolenia młodzież zdobywa podstawowe wiadomości o polskim prawie i Policji, opanowuje podstawy samoobrony i posługiwania się policyjnym ekwipunkiem (m.in. bronią). Uczy się także wybranych elementów kryminalistyki, etyki



ZERÓWKI

zawodowej, języka obcego (do wyboru: angielskiego, francuskiego, niemieckiego i rosyjskiego), maszynopisania. Najwięcej jednak czasu przewiduje się na przekazanie adeptom policyjnego fachu wiedzy i umiejętności potrzebnych do pełnienia służby patrolowej na ulicy — w prewencji i ruchu drogowym.

Sympatyczna brunetka z pistoletem w pozycji strzeleckiej dwoma susami wpada do pomieszczenia i błyskawicznie sprawdza teren. — Czyste! — Może być — stwierdza podkom. Robert Częścik z Zakładu Prewencji WSPol. — Teraz to samo dwójkami. Brunetka powtarza ćwiczenie z kolegą. W ich ślady idzie reszta grupy. Po chwili nowy wariant: w pomieszczeniu ukrywa się uzbrojony bandyta, trzeba go zaskoczyć. Sposób dowolny. Nie wszystkim się to udaje. — To nie było dowcipne! — żali się studentka, gdy podczas przygotowania do wejścia sama zostaje zaskoczona przez bandytę w drzwiach. Jej koleżanka używa podstępów: do pokoju zakrada się pełznąco. Udało się! Strzela pierwsza.

— Szczególną uwagę zwracamy na wypracowanie nawyków zapewnających bezpieczeństwo osobiste — mówi podkom. Częścik. — Chodzi nam też o rozwinięcie u słuchaczy umiejętności elastycznego reagowania — zależnie od sytuacji.

Na bezpieczeństwo własne, kolegów z patrolu oraz innych osób zwraca uwagę swoim podopiecznym także nadkom. Jarosław Kmiecik. Rozmawiamy przy radiowozie stojącym przy drodze wylotowej ze Szczytna. W ramach zmodernizowanego podejścia do szkolenia, zakładającego m.in. integrację przedmiotów i ściślejsze związki z praktyką, w Instytucie Podstaw Służby Policyjnej przeprowadzono wspólne zajęcia z łączności i ruchu drogowego. Działający w kilku osobowych zespołach słuchacze pod czujnym okiem pracowników Zakładu Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego prowadzili kontrolę pojazdów. W tym samym czasie inny zespół obsługiwał ulokowane w szkole stanowisko łączności radiowej.

Pytani o wrażenia z pierwszej służby młodzi policjanci opowiadają o zdenerwowaniu i lekko rozdygotanych rękach. — Ale tylko z początku — dodają. — A kierowcy też się denerwują.

Jest ich 89, w tym piętnaście dziewcząt. Przed przyjściem do Szczytna pracę policji znali głównie z filmów, książek, pracy i opowieści znajomych. Zanim rozpoczęli naukę, musieli przebrnąć przez gęste sito dwuetapowych egzaminów wstępnych (konkurencja: 10 chętnych na 1 miejsce wśród chłopców i 15 wśród dziewcząt). Co ich skłoniło do wyboru



szkół? Przede wszystkim możliwość zdobycia wykształcenia i interesującego zawodu bez obciążania rodziny kosztami studiów. Nie bez znaczenia jest także fakt, że po ukończeniu WSPol. mają zapewnioną pracę. Ale jest coś więcej. Wypytywani przeze mnie słuchacze mówią o chęci pomagania innym i pragnieniu sprawdzania się w trudnych sytuacjach.

Według nadkom. Teresy Bielskiej, wykładającej w WSPol. psychologię, trudno jednoznacznie określić, jakie cechy charakteru powinien mieć idealny kandydat czy kandydatka na studia w policyjnej uczelni. Oczywiście, powinien być na odpowiednim poziomie intelektualnym, żeby sprostać wymaganiom programu. Na pewno też potrzebna jest umiejętność nawiązywania kontaktów i pracy w zespole, zdolność do sprawnego działania w sytuacjach wysoce stresowych. Policja to nie miejsce dla Rambo czy Brudnego Harry'ego (tacy zresztą odpadają podczas wstępnych badań). W szkole dobrze radzą sobie osoby, które już wcześniej były samodzielne, np. mieszkaly w internacie. Takie, które działały społecznie, przewodziły rówieśnikom albo... uprawiały wyczynowo jakiś sport. I nie chodzi tu tylko o przygotowanie fizyczne — liczy się wewnętrzna dyscyplina treningowa i potrzeba sprawdzania się.

Poznani podczas „lekcji na drodze” Katarzyna Kunc, Katarzyna Kubsz, Paweł Kubiś i Robert Kowalczyk nie żalują, że wybrali zawód policjanta. A jak się sprawdzają w nietypowym dla swej płci zawodzie dziewczęta? — Jeśli mają w sobie „iskrę”, w zasadzie nie gorzej niż chłopcy — mówi podkom. Częścik. — Choć jest im trudniej. Życie słabiej je przygotowuje do stanowczych działań. Różnice starają się jednak wyrównać przygotowaniem teoretycznym, techniką. To, czego nie mogą dokonać siłą, próbują zrobić sposobem. Bo wymagania stawia się im takie same, jak kolegom.

Niektórzy słuchacze z „zerówki” zdążyli już w praktyce wykorzystać wiedzę opanowaną na lekcjach. Podczas nocnego patrolu Daniel Pontus i Marcin Wójcik wraz z sierż. Andrzejem Kozikowskim z lokalnej policji ujęli na gorącym uczynku sprawców kradzieży z włamaniem do sklepu spożywczo-przemysłowego w pobliskim Tylkowie. W kilka godzin później schwytali innego włamywacza, buszującego w sklepie spożywczym w Pamią.

We wrześniu „zerówka” zjedzie do Szczytna po praktykach. W programie nauki znajdują się wówczas inne przedmioty — informatyka, statystyka, psychologia, organizacja i kierowanie. Powrócą niektóre tematy już znane, będzie się je jednak omawiać nie z punktu widzenia wykonawcy, ale kandydata na policyjnego menedżera.

**WALENTYNA TRZCIŃSKA
zdj. Tomasz Muraszko**

ryk F. poszedł otworzyć bramę. Kierowca i jego pasażer zostali zatrzymani. Kierowcą, a zarazem właścicielem audi 90 był Marek O., a pasażerem — Grzegorz D.

— Zostałem wynajęty przez Marka K. Przywożę i odwożę do Warszawy panów dozorców — oznajmił kierowca i właściciel audi.

— Ja jestem zmiennikiem pana Henryka F. — potwierdził Grzegorz D. — Przybyłem na swoją szczytę, a zarazem przywiozłem karmę dla kóz i psa.

Kierowcę i dozorców zatrzymano.

54-letni Marek K. był w domu. Po rozwodzie mieszkał sam. Do końca 1989 roku pracował w przedsiębiorstwie Polam-Meos. Rzucił tę pracę i usiadł za kółkiem własnej taksówki. Wkrótce jednak rzekł się koncesji. Ma 30-letniego syna i 16-letnie bliźnięta, które utrzymuje. Nie przejął się wizytą skieniewiczich i żyrdowskich funkcjonariuszy. Ze spokojem odpowiadał na zadawane mu podczas lustracji lokalu pytania.

Z czego obecnie żyje?

— Z odsetek od kapitału, który ulokowałem w bankach. Ponadto robię interesy na eksporcie żywności do byłych republik radzieckich. Ostatnio zawarłem poważne kontrakty z firmami w Baku.

Gdy tematem rozmowy stały się Muśły i znalezione w posesji przedmioty, Marek K. oznajmił:

— Mój jest tam tylko inwentarz, pies i kozy. O reszcie nic mi nie wiadomo. Dom wypuściłem w dzierżawę

Adamowi M. z Warszawy. Co on tam robi, to jego sprawa.

— Czy opłaci się panu zatrudniać do trzech kóz i psa dwóch dozorców z Warszawy, wożących wynajętym samochodem osobowym karmę?

— Tak. Kozie mleko zastępuje mi lekarstwa na moje dolegliwości. Zamierzam rozwinąć hodowlę tych zwierząt, zbieram już zamówienia na do-

dokończenie na str. 22

Zagadka
kryminalna

WŚRÓD CZWÓRKI

Beata jak zwykle wróciła do domu pierwsza. Lekcje skończyły się około 14.00. Włożyła klucz i otworzyła drzwi. Były zamknięte na oba zamki. Zdjęła kurtkę, postawiła obok torbę z zeszytami i weszła do łazienki. Była przekonana, że jest sama. Rozebrała się i wzięła prysznic. Dopiero po jakichś piętnastu minutach weszła do pokoju... Przez chwilę stała jak wryta, potem czym prędzej narzuciła szlafrok i wybiegła z mieszkania. Zbiegła dwa piętra niżej i zastukała do drzwi 17-letniego Artura.

— Słuchaj! Coś się stało z Mackiem. Leży na podłodze związany jakimiś sznurami. Zresztą sama nie wiem, może tylko chciał mnie przestraszyć. Najlepiej idź i sprawdź.

Artur zaciągnął się trzymanym w ręku papierosem, jakby się przestraszył.

— Dobra, chodźmy.

Beata została na zewnątrz. Artur sam wszedł do mieszkania. Po kilku minutach wyszedł już bez papierosa i zabrał swoją koleżankę do siebie. Usiłował ją uspokoić, choć jemu samemu trzęsły się ręce. Zatelefonował na policję...

Maciek leżał na brzuchu, twarzą do podłogi. Ręce i nogi miał związane przewodem elektrycznym, który owinięty był także wokół jego szyi i zawiązany na węzeł. Obok głowy na dywanie leżał zakrwawiony nóż do trybowania mięsa. Inny nóż kuchenny tkwił wbity po rękojęść w jego szyję, widoczny dopiero po odwróceniu denata na plecy. Na jego piersi odkryto jeszcze dwa krwawe ślady powstałe prawdopodobnie po ciosach zadanych leżącym obok złamanym trybownikiem. 16-letni Maciej, uczeń liceum, nie żył od około dwóch godzin.

Pierwszą rzeczą, jaką rzuciła się w oczy prowadzącym oględziny miejsca zbrodni policjantom był porządek panujący w mieszkaniu. Nigdzie nie dostrzeżono żadnych

śladów walki ani plądrowania. Dwie nie dopite herbaty znajdowały się na wysuniętym, dość chybliwym blacie stołu, wszystkie przedmioty leżące na nim i sąsiednich meblach były na swoim miejscu. Jak więc mogło dojść do związania ofiary bez żadnej bójki czy choćby szamotaniny? Przewrócone krzesła morderca mógł co prawda poustawić na miejsce, ale co zrobiłby z rozsypałym cukrem, wylaną herbatą, potłuczonymi szklankami? Tego typu bałaganu świadczącego o stoczonym boju nie usunąłby tak dokładnie.

Zabójca usunął natomiast i to z obu szklanek z herbatą oraz noży ślady linii papilarnych. Na innych sprzętach w pokoju Maćka ujawniono je jednak. Należały do Maćka, jego siostry Beaty oraz czterech nie znanych na razie policji osób. Ujawniono je m.in. na popielniczce, w której znajdowały się niedopałki po papierosach „Marlboro” i „Salem”.

Policjanci zbierali każdą informację o nieżyjącym. Podobno ostatnio miał jakieś kłopoty, odsunął się od kolegów w klasie, jego najlepszy przyjaciel wyniósł się do innej szkoły, a on sam ponoć zaczął brać amfetaminę. W szkole dawał sobie radę, choć coraz częściej opuszczał lekcje. Któryś z kolegów stwierdził także, że zadarł z grupą skinheadów (w jego biurku znaleziono wyrabiane chałupniczym sposobem kastety). Może obawiał się napaści?

Najbardziej tajemniczych informacji dostarczył jednak sąsiad Maćka i przyjaciel Beaty, Artur. Twierdził, że chłopak był ostatnio

czymś mocno przygnębiony, sprawał wrażenie, jakby coś go gryzło. Chciał szybko zarobić 10 milionów zł, ale nie wiedział jak. Nie mówił też, na co potrzebne mu pieniądze. Przy tym wypalał mnóstwo papierosów. Interesował się także kodeksem karnym, tj. tym ile i za jakie przestępstwa można zostać skazanym.

siła Maćka, żeby zrobić zakupy. Okazało się jednak, że ma przy sobie tylko milion zł w jednym banknocie. Wówczas kolega Maćka zaoferował pomoc. Stwierdził, że pożyczyci Maćkowi 100 tys. zł, a on odda mu niebawem, gdyż jest taki solidny. Maciek jakby się lekko zaczerwienił...

Policjanci ruszyli tym tropem.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI

PODEJRZANYCH

Dzień wcześniej odwiedził Artura, ale nie zastał go w domu. Zostawił mu więc kartkę w drzwiach: „Będę u ciebie jutro o 10.00, to pogadamy.” Artur czekał do 12.00, ale Maciek nie przyszedł. Postanowił więc sam wybrać się do niego. Około południa zadzwonił do drzwi Maćka, jednak nikt mu nie otworzył.

O swojej przyjaźni z Beatą nie chciał mówić. Ot, jak to sąsiedzi, czasem spotykali się przypadkowo na schodach lub przed domem i to wszystko. Tymczasem policjanci dowiedzieli się od koleżanek Beaty, że ostatnio ona i Artur tworzyli parę. Beata odbiła Artura Oli, która z kolei zaczęła spotykać się z... Maćkiem. Beata zwierzyła się też koleżance, że któregoś dnia jej brat wrócił dużo wcześniej ze szkoły niż powinien i nakrył ją w łóżku z Arturem. Bardzo się bała, by nie powiedział o tym rodzicom.

Matka Maćka na widok zwłok doznała szoku. Dopiero długo później mogła zeznawać. Stwierdziła, że tamtego dnia, kiedy znaleziono ciało jej syna, udała się do urzędu skarbowego rozliczyć PIT. Maciek nie wybierał się do szkoły, bo był na zwolnieniu lekarskim. Wróciła do domu około 10.20. Oprócz Maćka zastała jeszcze jakiegoś nie znanego jej, dobrze ubranego i kulturalnego chłopca. Najprawdopodobniej był narodowości cygańskiej. Nigdy wcześniej go nie widziała. Miał około 17—19 lat, kruczono włosy i śniadą cerę. Ubrany był w bardzo charakterystyczną skórzaną kurtkę z napisem „Montana” na plecach. Przed wyjściem do pracy około godziny 11.00 popro-

Jeszcze raz sprawdzono wszystkich kolegów Maćka. Mnożyły się adresy, sypały różne, czasem sprzeczne informacje. Jednak na ślad Cygana nie naprowadziły. Pomógł przypadek.

Jeden z policjantów prowadzących śledztwo będąc całkiem prywatnie w restauracji „Europejska” zauważył przy stoliku młodego, około 18-letniego mężczyznę narodowości cygańskiej w czarnej, skórzanej kurtce z napisem „Montana” na plecach.

Cygan najpierw twierdził, że zna żadnego Maćka. Kiedy jednak przywieziono go do policyjnej komendy przypomniał sobie znajomość z chłopakiem z liceum — jak go nazywał. Poznali się przypadkowo na błoniach. Maciek poprosił go o papierosa. Wyciągając z paczki Marlboro stwierdził, że bardzo je lubi, ale jego, niestety, na takie fajki nie stać, gdyż chwilowo ma kłopoty finansowe. Ale ma na oku świetny interes. Zapropnował Cyganowi spotkanie. Umówili się następnego dnia w kawiarni. Maciek stwierdził, że musi pożyczyć 5 milionów zł na dwa tygodnie. Po tym terminie odda równo 10 baniek. Trafił mu się interes z trzy-, a może i czterokrotnym przebicciem. Jaki? Nie może zdradzić. Cygan zgodził się i na następnym spotkaniu wręczył Maćkowi 5 milionów. Wziął pokwitowanie i spisał dane Maćka z legitymacji szkolnej. Pokwitowanie to miał wciąż przy sobie i pokazał je policjantom. Po upływie 2 tygodni odwiedził Maćka, ale

ten nie miał pieniędzy i poprosił go o jeszcze jeden tydzień zwłok. Mało tego, jeszcze pożyczył Maćkowi 100 tys. zł na zakupy, gdyż jego mama nie chciała zostawić mu całego miliona.

Odciski palców Cygana, podobnie jak i Artura widniały na kilku sprzętach w pokoju Maćka. Kiedy okazano go matce nieżyjącego chłopca, wśród pięciu innych Cyganów, bez wahania wskazała na niego, jako kolegę, który był u Maćka w dniu zabójstwa i zaferował pożyczanie 100 tys. zł na zakupy.

Wersję o długach Maćka potwierdził jego były najserdeczniejszy przyjaciel z klasy, Romek znany z zamięłowania do wszelkich cyrkowych sztuczek. Co prawda niedawno zmienił szkołę i przez to przestał widywać się z Maćkiem, ale kiedyś, gdy jeszcze bardzo się przyjaźnili (Maciek często pożyczał mu kluczy do swojego mieszkania, gdy Romek wybierał się na wagarze ze swoją dziewczyną), Maciek zwierzył mu się ze swoich finansowych kłopotów. Było to jakieś trzy tygodnie wcześniej, kiedy to Romek był u niego po raz ostatni. Maciek mówił, że jest winny jakiemuś Cyganowi 10 milionów zł i nie ma skąd wziąć, by mu oddać. Podobno zaczął się bać. Opowiadał o swoim koledze, który niedawno spadł z dachu. Też miał długi. Nie zapłacił za partię amfetaminy, którą dostał od dealera do rozprowadzenia wśród kolegów w szkole (a 50 tys. zł jedna porcja), a którą zużył na własne potrzeby. Maciek też chciał zarobić forszę na handlu amfetaminą. Potrzebował pieniędzy na zastaw za towar. Szukał dojścia do dealera.

Licjanci również. Przy okazji trafili do pana Karola (jego odcisków palców, w przeciwieństwie do Romka, w mieszkaniu Maćka nie ujawniono), zamieszanego w handel amfetaminą i inne podejrzanym interesy. Podczas przeszukania w jego mieszkaniu znaleziono zdjęcia pornograficzne, przeznaczone do zagranicznych pism dla homoseksualistów. Na kilku z nich jednym z partnerów erotycznych ekscesów pana Karola był... Romek, przyjaciel Maćka.

— Owszem, to ja — przyznał Romek, nie patrząc nawet na zdjęcia. Kiedy Maciek miał kłopoty finansowe, zaproponowałem mu, żeby zarobił tak jak ja. Ale on mnie wysmiał i opowiedział o wszystkim naszym koleżankom. Dlatego musiałem zmienić szkołę.

Czwartą osobą, której odciski linii papilarnych ujawniono w mieszkaniu Maćka, była Ola, do niedawna dziewczyna Artura, zerwał z nią, bo kiedyś nagiego zwią-

Dwa lata temu według szacunków NBP około 25 proc. udzielonych przez banki kredytów było bezpowrotnie straconych. Należy przypuszczać, że obecnie procent ten jest jeszcze większy. Przybywa nieuczciwych kredytobiorców, którzy wymyślają coraz to nowe sposoby wyludzenia miliardowych pożyczek, pożyczek, których nigdy nie zamierzają oddać. Niestety, w ślad za pomysłowością oszustów nie idzie pomysłowość bankowców zmierzająca do coraz lepszego zabezpieczenia powierzonych im pieniędzy.

Oczywiście, najprostszą dla oszustów metodą byłoby dogadanie się z jakimś wyższym urzędnikiem bankowym decydującym o przyznaniu kredytu. Łapówki dawane urzędnikom bankowym w zamian za przyznanie kredytu bez wymaganego zabezpieczenia wynoszą, w zależności od kwoty zaciąganej pożyczki, od 1 do 10 procent jej wysokości. Ale odpowiednie znajomości w bankach znajdują nieliczni. Pozostali chętni do szybkiego zdobywania miliardów szukają innych sposobów. Oto kilka z nich zaobserwowanych w ostatnich miesiącach w jednym tylko województwie.

Pod koniec ubiegłego roku w Zielonogórskim zawiązała się pewna grupa, która wyludzeniem kredytów zajęła się w sposób wyspecjalizowany, wręcz zawodowy. Grupa liczyła osiem osób. Na jedną z nich zarejestrowana została rzekoma spółka z o.o., która wyszukiwała upadłe lub nierentowne zakłady, po czym wykupywała je od likwidatora, syndyka czy też istniejącej jeszcze dyrekcji. Obiekt typu duży POM czy też zakład budowlany spółka owa kupowała za około 2 miliardy złotych, po czym zatrudniała biegłego, który za odpowiednią opłatą wycenił dany obiekt na 50 miliardów złotych, po to, żeby pod zastaw tak wielkiego majątku wziąć równie wielki kredyt. Spółka zaciągała go w „Animexbanku”, a kredyt wynosił 22,5 miliarda złotych, co stanowiło maksymalną wysokość pożyczki w tym banku.

Przystępując do zakupu nieruchomości, a potem występując o wielomiliardowy kredyt wspólnicy nie mieli nawet przysłowiowego grosza w kieszeni. Owi świeżo upieczeni „biznesmeni” wyrosli z tzw. nowego biznesu typu handel obwoźny i handel z polowego łózka roztawionego na bazarze. Skąd zatem mieli ów miliard na zakup nieruchomości? Tu właśnie tkwiło całe jądro owego pomysłu. Ten miliard mieli... z lombardu. Jak się później okazało, mógłmiem owoy operacji — a kredytów takich zaciągnęli co najmniej kilka — był pracownik poznańskiego lombardu. Ów lombard udzielił



MILIARDOWI DŁUŻNICY

spółce pożyczki w wysokości miliarda złotych na zakup nieruchomości. Przy podpisywaniu notarialnego aktu kupna obecny był przedstawiciel lombardu, który pilnował, żeby wpisać, że obiekt jest zadłużony wobec lombardu na sumę... 5 miliardów złotych. A więc za pożyczanie miliarda lombard dostawał 5 miliardów złotych. I to, rzecz jasna, nie od spółki, która groszem nie pachniała, lecz od banku, który wkrótce miał udzielić kredytu. Nieruchomość biegle, za odpowiednią opłatą, wyceniał na 50 miliardów złotych. Jednocześnie inna zaprzyjaźniona z lombardem firma opracowywała tzw. biznes-plan, po to, aby ubiegająca się o kredyt spółka wyglądała na poważnego kontrahenta. Na tej podstawie bank udzielał maksymalnie wysokiego kredytu. Natychmiast po jego otrzymaniu panowie oddawali 5 miliardów lombardowi, opłacali usługi wszystkich „kooperantów”, po czym pozostającą sumę dzielili równo między siebie.

Wydział do Walki z Przestępczością Gospodarczą KWP w Zielonej Górze ustalił, że „Animexbank” udzielił kilkunastu takich kredytów na terenie całej Polski. Na razie aresztowanych zostało 5 osób, ale w sprawę zamieszanych jest o wiele więcej. Śledztwo trwa.

Innym sposobem wyludzenia kredytu z banku była metoda z fałszywym kupcem. Legalna i solidna dotychczas firma wzięta w banku kredyt wysokości 5 miliardów złotych, po czym właściciel sprzedał tę firmę panu X. Kupujący nabył ją oczywiście wraz z zadłużeniem. Nowy właściciel pojawiał się w biurze przez kilka dni, po czym nagle znikł. Kiedy bank zaczął dopominać się o spłatę kredytu okazało się, że pan X. nie istnieje. Dowód osobisty z jego danymi, który przedstawił podczas spisania umowy, był po prostu fałszywy. Bank może teraz szukać wiatru w polu. Nie ma od kogo ściągnąć udzielonego firmie kredytu, ponieważ poprzedni właściciel sprzedał ją wraz z obciążoną hipoteką, nowy właściciel zaś nie istnieje. Tego, że obydwa znają

się z pewnością jak tyse konie i właśnie zrobili wspólnie znakomity interes można się tylko domyślać.

Pan B. wyludził z kilku banków ponad 5 miliardów kredytu jako zabezpieczenie przedkładając niewielki tartak, który kupił bynajmniej nie po to by robić deski, lecz właśnie po to, by otrzymać kredyt. Dobrze opłacony biegle wycenił ów zakład wart nie więcej niż miliard na... 30 miliardów. Na tej podstawie pan B. wystąpił do banku z prośbą o kredyt na rozwój zakładu, sprowadzenie nowych linii technologicznych itp. Uzyskał miliard kredytu, ale to było za mało, postarał się więc o następny. Jednak aby go dostać, musiał mieć czystą hipotekę, a tymczasem widniał tam już wpisany poprzedni kredyt. Pan B. sfalszował więc stosowne dokumenty i przedstawił w banku zaświadczenie, że jego majątek nie jest obciążony żadnym długiem. W ten sposób uzyskał kolejne dwa miliardy. Numer ten powtórzył jeszcze dwukrotnie. Przynajmniej tyle udowodniono mu na razie. Śledztwo trwa.

Firma pani R. pobrała 6 miliardów zł kredytu pod zastaw towaru, którym handlowała — artykuły gospodarstwa domowego i sprzętu rtv. Po sprzedaniu tych artykułów pieniądze miały wrócić do banku. Pani R. jednak szybko i po byle jakich cenach sprzedawała posiadany towar świadomie doprowadzając firmę do upadłości. Kredyt trafił do kieszeni pani R., a upadła firma, rzecz jasna, nie była w stanie go spłacić. W podobny sposób postąpiło kilka innych firm, które zaciągawszy w banku duży kredyt nagle zaczęły ponosić same straty.

Policja prowadzi wiele śledztw w sprawach o wyludzenie kredytów. Bez względu na to, czym się one zakończą wydaje się raczej wątpliwe, aby banki odzyskały swoje pieniądze. A wraz z bankami my wszyscy, bo przecież ktoś kiedyś musi za to wszystko zapłacić.

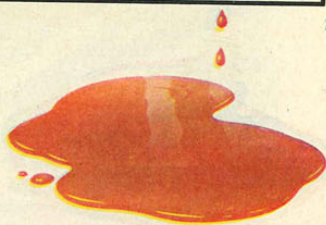
TRZY ZABÓJSTWA

dokończenie ze str. 17

mych mężczyzn przynosząc dokumenty Adama. Matka zabitego chłopaka nieomal ich nie zlincolnowała, sądząc, że to zabójcy. Zupełnie przypadkowo w okolicy pojawił się policjant radiowóz. Przybyszy zatrzymano, ale wkrótce zwolniono. Byli to „szpekrzy” z zabrzańskiego wyspiska śmieci. Dokumenty zamordowanego znaleźli w koszu koło dworca w Zabrzu i pomyśleli sobie, że może za oddanie właścicielowi dostaną parę groszy na gorzałczyne.

Wnioski nasuwały się same — trop mordercy wiedzie do Zabrze. Komendy w obu miastach podjęły współdziałanie. Rudzkich policjantów dopingowało pragnienie poprawy złej statystyki. Trzy nie wykryte przestępstwa, w tym dwa niemal identyczne ze względu na okrucieństwo sprawcy i rabunkowe podłoża... Domyślano się już, że Dorota H. i Adam N. zginęli z ręki tego samego sadystycznego zwyrodnialca. Nie można było wykluczyć następnych ataków.

Przełomu w śledztwie dokonało operacyjne ustalenie dziewczyny, która wieczorem 15 marca spotkała N. w kawiarence na Osiedlu Jankowskiego w Wirku. Zamierzała nawet z nim pogadać, ale nie wypadało opuszczać kolegów, którzy ją zaprosili. Rzuciła tylko: — „Cześć!” — i zagadnęła o brata. Widziała potem, jak do Adama dosiadł się młody mężczyzna. Na podstawie wypowiedzi dziewczyny wykreślono



portret pamięciowy „Nieznajomego”. Niestety, nikt z personelu kawiarni ani z bywalców nie umiał go rozpoznać. Dopiero towarzysze dziewczyny orzekli, że pokazywany rysunek przypomina im gębę faceta o ksywie „...”, mieszkającego na „Fryncicie”. Istotnie, w Nowym Bytomiu, przy ulicy Czarnoleśnej, mieszkał człowiek noszący takie przezwisko, 23-letni Jan F. Właściwie to F. powinien przebywać w więzieniu, ale nie przebywał, gdyż wspaniałości i litościwe władze penitencjarne ofiarowały mu warunkowe zwolnienie z odbywania kary. Jan F. „od młodego” znany był rudzkiej policji. Przestępczą edukację zdobywał w poprawczakach, potem w celach więziennych, gdzie trzykrotnie trafiał z powodu wyroków orzekanych za kradzieże z włamaniami. Obecnie toczą się przeciwko niemu dwa postępowania przygotowawcze. Jan F. słynął wśród rudzkich meneli z tego, że po wypiciu alkoholu, co notabene zdarzało mu się codziennie, dostawał „małpiego rozumu”. Latał wtedy z nożem w garści i „ciepał się do każdego”.

Zatrzymano Jana F. 13 kwietnia. Przeszukanie odnalazło w jego miesz-

kaniu „fanty” — ukradzione Dorocie H. radio, już zresztą w kawałkach, lampki choinkowe oraz magnetofon Adama N.

W obliczu dowodów Jan F. przyznał się do winy. Do mieszkania H. wszedł, kiedy ona już spała pijana. „Odwalil z nią numerek” — śpiąca kobieta chyba nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje, po czym poszedł po wino. Kiedy wrócił, już „kontaktowała”. Wypili razem; a jemu znów „wezbrało”. Jej na nieszczęście nie. Wtedy wałnął ją po grzebaczem, poprawił siekierką. Wychodząc zabrał ze sobą zakrwawione przedmioty i wyrzucił razem z kluczami do śmietnika. Akurat nadjeżdżał wóz asenizacyjny.

Adama N. poznał F. w wiereckiej kawiarni. Byli rówieśnikami. Po zamknięciu lokalu Adam zaholował nowego kumpla do siebie, gdzie zmoczywszy halbkę obaj „padli”. Jan F. ocknął się w środku nocy i zaczął kombinować: oto doskonała sposobność do zawładnięcia dobrami naiwnego gospodarza. Przygotował do wyniesienia co cenniejsze przedmioty, ale nagle pomyślał sobie, że Adam N. będzie przecież wiedział, kto go okradł. Bez wahania poszedł do kuchni po noże i tłuczek. Przy pierwszym ciosie zadany Adamowi w głowę ostrze noża pękło na kości czaszki. Jan F. za włosy ściągnął nieszczęśnika na podłogę, gdzie dobił drugim nożem i tłuczkiem.

Podczas przesłuchiwania przez prokuratora Marka Rysia podejrzanego zachowywał niebawym spokój i opanowanie. Opis jego postępów dedykując tym wszystkim, którzy głoszą, że polskie prawo zbyt surowo traktuje przestępców, i tym, którzy są zwolennikami zniesienia kary śmierci.

ADAM K. PODGÓRSKI



FABRYKA

DOKUMENTÓW

dokończenie ze str. 19

stawę koziego mleka do sklepów i przetwórni farmaceutycznych.

Przyszłego mistrza od interesów na kozim mleku zatrzymano. Skłamał, że nie był karany. Odpowiadał przed sądem już dwukrotnie: z art. 216 i 201 k.k.

Z dzierzawcą posesji w Musulach Adamem M. funkcjonariusze nie zdołali nawiązać kontaktu. Doremnie szukano go przez Pesel. Policjanci doszli do wniosku, że nazwisko i adres są fikcyjne.

Grupa policjantów obstawiających zasadzkę także się nie nudziła. Oprócz dwóch dozorców i kierowcy, który dowodził ich ze stolicy, niebawem zatrzymano nowych gości: kierowcę, a zarazem właściciela firda escorta ze Świnoujścia oraz kierowcę mercedesa furgonu ze Szczecina. Furgon miał numery rejestracyjne, które nie figurowały w ewidencji.

Po co przyjechał do zagrody Marka K. w Musulach?

Musul, jak zgodnie zeznali, nie byłby celem ich podróży. Tu wstąpili, żeby kupić... psa. Tego, który razem z dozorcami miał obowiązek pilnować trzech kóz. Dalsza marszruta wiodła ich do Warszawy. Zostali bowiem wynajęci do przeprowadzenia ze Szczecina do stolicy mercedesa furgonu. Odbiorcy nie znali.

— Andrzej przyjdzie do was na parking przed Pałacem Kultury i Nauki. Od niego dostaniecie honorarium za usługę — powiedział obu panom w Szczecinie jakiś pan Sz.

Funkcjonariusze KRP w Żyrardowie wystąpili do prokuratora rejonowego z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie wszystkich zatrzymanych. Prokurator zastosował poręczenia majątkowe. Wobec Marka K. wyraziło się ono kwotą 150 milionów złotych, które zobowiązany bezwzględnie uiszczyć.

Śledztwo trwa i nikt nie jest w stanie przewidzieć jego wyników. Można jedynie stawiać hipotezy i snuć różne kryminalne wersje. Być może, iż w walące się posesji legalizowano skradzione nie tylko w Polsce, lecz także w wielu państwach Europy samochody. Po tych zabiegach, auta, jak należy przypuszczać, kierowane były za wschodnią granicę. Pretekstem do tych operacji stały się rzeczywiste kontakty handlowe firmy prowadzonej przez kolegę Marka K., która eksportowała na wschód polskie kartofle. Przedstawiciele tej firmy mogli wyjeżdżać zalegalizowanymi w Musulach samochodami, a wracać — pociągami lub samolotem.

Gdyby nawet przyjąć „czarną wersję” perspektyw śledztwa, to i tak trzeba powiedzieć, że funkcjonariusze policji ze Skierniewic i Żyrardowa odnieśli duży sukces. Uległa przecież likwidacji wszechstronna i potencjalnie ogromna „wytwórnia papierów wartościowych”, mogąca legalizować przeróżne ciemne transakcje i interesy.

EDWARD NOWAK

UCIEKINIERZY I NIE TYLKO

dokończenie ze str. 11

na takie zgłoszenie czekał. Tak się dzieje, gdy zaginie 2-, 5-letnie dziecko. Kiedy jednak chodzi o nastolatka, to najpierw szuka się w pogotowiach, w szpitalach, policyjnych izbach zatrzymań, potem próbuje ustalić kontakty towarzyskie. Tych działań nie widać tak, jak plutonu poszukiwaczy, stąd częste zarzuty rodziców, że policja nic nie robi.

● Dzieci

powinny przede wszystkim mniej ufać nieznajomym „wujkom” i księżom z bajki gotowym od razu zająć się „promocją” (jak to się teraz modnie nazywa) na Zachodzie. Jeżeli ktoś proponuje wyjazd do pracy za granicą, a nie zadaje żadnych pytań o kwalifikacje i znajomość języka, to najlepszy dowód, że język w tej pracy będzie niepotrzebny, a jedyną kwalifikację stanowi młode ciało. Nawet jeśli dobry wujek proponuje pracę u bauera na roli, a nie w ekskluzywnej restauracji.

Należy również uważać na wszelkie kontakty z obcymi, jeżdżącymi superlimuzynami. Policji znane są przypadki, kiedy taki właśnie pojazd zatrzymywał się przy nastolatku, jego kierowca pytał np. o drogę, a gdy młoda dziewczyna lub chłopak pochylił się nad okienkiem, drzwi otwierały się i młody człowiek zostawał wciągnięty do środka i wywieziony.

To samo dotyczy dzieci poniżej 12 lat. Żadnych cukierków, lizaków, czekoladek od obcych! Żadnych wspólnych wycieczek do pinwiny, do lasu, czy gdziekolwiek indziej, nawet jeśli powodem jest konający piesek lub cierpiący kotek. Równie zdecydowa-

nie należy wystrzegać się pośrednictwa i nie wolno wierzyć nieznajomemu w to, że przysłała go mamusia. Te podstawowe przykazania powinny znajdować się w każdym szkolnym i domowym elementarzu. Bez nich...

Naszą rozmowę w KGP przerywa telefon. Dzwonią z przejścia granicznego. Dwie nastolatki wróciły z Niemiec bez paszportów. W tamtą stronę przewiózł je na cudzym paszporcie z wklejonym ich zdjęciem „znajomy”. Miały pracować jako pomoc domowa. W domu nie było ich od pół roku. Co naprawdę robiły?... Nie chcą powiedzieć.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI

W ub. r. zgłoszono ogółem

- poszukiwano
- do domu wróciło
- policja ustaliła miejsce pobytu
- zatrzymała
- odnalazła zwłoki

12 675 zaginięć
14 979 (nadwyżka z 1992 r.)

6749

2375

1815

652 zaginionych

dokończenie ze str. 21

numer zamknięto 8 VI 1994 r.
Zam. 40629
REDAKTOR DYŻURNY
Zygmunt Podhorodecki

panorama

MYŚLI

997

Ludzkosc ma wszelkie powody, aby gloscieli wysokich norm moralnych i wartosci stawiac wyzej niz odkrywcow prawdy obiektywnej.

Albert Einstein

Nie tworze zadnych teorii, twierdze tylko, ze nikt nie ma prawa ogloszac pewnych problemow za wyklete.

Pawel Jasienica

Gdyby nawet wolnosc, tolerancje i inne wartosci uznac za wady demokracji, to i tak sa one duzo lepsze od sztywnej poprawnosci totalitaryzmu.

Jerzy Kosinski

Na krótką metę Żyrynowski jest tylko dzieckiem najnowszej klęski reform w historii Rosji.
prof. Jurij Afanasjew

ZAPAMIĘTAJ:

Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej, ale czy to jest powód do radości?

Wiesław Górnicki



zdj. Paweł Pestka

ZWIERZĘTA POLUJĄ NA... LUDZI

Podczas polowania w lasach na zachód od Paryża zginął 46-letni kapitan francuskiej żandarmerii Jean-Marie Macron, który został zabity przez... jelenia.

Zwierzę wytopione przez uczestników nagonki było tak wystraszone, że nagle zmieniło kierunek ucieczki i ruszyło z kopyta w kierunku zaczajonych myśliwych. 200-kilogramowy jelen z całym impetem wpadł na Macrona, który nie zdążył zrobić użytku ze swej strzelby. Róg zwierza przebił myśliwemu aortę i śmierć nastąpiła prawie natychmiast.

Natomiast w pobliżu miejscowości Kumiya, w tureckiej części Cypru, 38-letni myśliwy Ahmet Gazioglu odpoczywał po wielogodzinnym polowaniu. Kręcący się koło niego pies myśliwski nadeptnął na spust niebezpiecznej strzelby, która wypaliła, raniąc niefrasobliwego amatora polowań w stopę, kolano i biodro.

Tragicznie zakończyło się polowanie dla 43-letniego myśliwego rumuńskiego. Wracając z lasu, został zastrzelony przez własnego psa. Zwierzę zapewne przypadkowo pociągnęło za spust nalożonego sztucera, który znajdował się na tylnym siedzeniu, i dwie kule trafiły pchowca. Zmarł po przewiezieniu do szpitala.

(gi)

FRASZKI

MOJE UZNANIE

Jeżeli już mam być szczerzy, choć nie pochwalam biurokratów, to jednak w stosunku do A-4 są to ludzie wielkiego formatu.

NA ROZUM

Chłopski rozum w inteligentnej głowie nie każdemu wychodzi na zdrowie.

SKUTKI AWANSU MIERNOTY

Chodzi ludziom po głowach, by przypadkiem nie budził niczyjej wątpliwości fakt, że wyszedł na ludzi.

JERZY LESZCZYŃSKI

CORAZ WIĘCEJ AMERYKANÓW KORZYSTA Z PASÓW BEZPIECZEŃSTWA

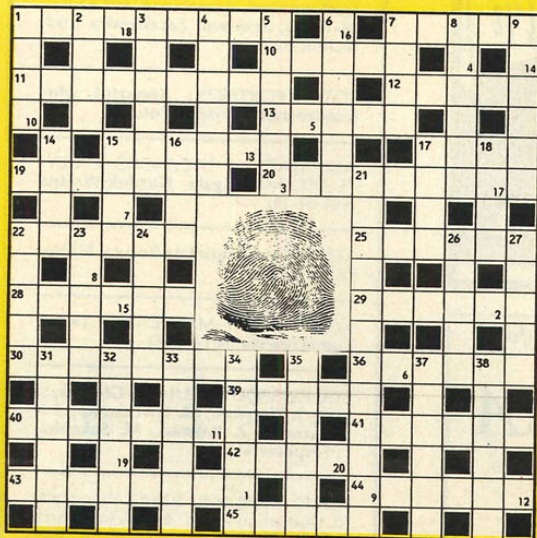
W Stanach Zjednoczonych zapinanie pasów bezpieczeństwa w samochodach nie jest obowiązkowe w każdym stanie, jednak stale wzrasta liczba kierowców i pasażerów, którzy nie lekceważą tego środka ostrożności. W 1993 r. było ich 66 proc., wobec 62 proc. w 1992 r. i 59 proc. w 1991 roku.

Według ministerstwa transportu USA, zwiększenie w ciągu roku tylko o 4 proc. liczby osób zapinających pasy bezpieczeństwa w samochodach umożliwiło uratowanie życia 500 osób oraz uchronienie przed ciężkimi obrażeniami ciała 14 tys. Amerykanów. Zaoszczędzono też miliard dolarów, dzięki zmniejszeniu wydatków na pomoc medyczną oraz strat produkcyjnych wskutek absencji poszkodowanych w zakładach pracy.

Obecnie w 10 stanach, w tym w dwóch największych pod względem liczby mieszkańców — Kalifornii i Nowym Jorku, obowiązują przepisy zezwalające policji na zatrzymywanie i karanie mandatami kierowców nie mających zapiętych pasów.

(gi)

KRZYŻÓWKA nr 12



POZIOMO: 1 — popełniane przez nieuczciwych, 7 — człowiek podły, zły, 10 — kłamstwa, 11 — nieodparcie kojarzy się nam z Janem Kochanowskim, 12 — krwawe, liczne toczono, 13 — Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy (skrót), 15 — współczesny poeta amerykański, 17 — 1 dcm³, 19 — walna bitwa, rozgrywka, 20 — kieszonkowiec, 22 — trucizna porażająca mięśnie oddechowe, 25 — w oczy kole, 28 — dziewczyna jak..., 29 — w wojsku od podporucznika wwyż, 30 — tu nasza akademia policyjna, 36 — grunt, założenie, 39 — słowo, 40 — szereg pokoiów w jednym ciągu, 41 — kolega kariatydy, 42 — twardy grunt, ziemia nie uprawiana, 43 — południowoamerykańska republika, 44 — kot drapieżny, 45 — papuga z Australii.

PIONOWO: 1 — latem — krótkie, 2 — rosły, wysoki mężczyzna, 3 — odmiana narcyza, 4 — zaszczep, sława, 5 — niedorzeczność, 6 — obchód kontrolny terenu, 7 — przysięgłych, 8 — ze stolicą w Brukseli, 9 — włókiennicze miasto nad Bzurą, 14 — stolica Azerbejdżanu, 15 — w niej zupa na stole, 16 — ... Minelli, znana z „Kabaretu”, 17 — stalowa holownica, 18 — wysiłek, 21 — działanie bez uprzedniego przygotowania, 22 — napój ze sfermentowanego mleka kobyłego, 23 — starożytne narzędzie pisarskie, 24 — brzegi, kanty, 26 — jezioro na Pojezierzu Słowińskim, 27 — tkanina ubraniowa, 31 — projekt, plan, 32 — narzędzie ślusarskie, 33 — ratunkowa na statku, 34 — głośne, manifestacyjne wyrażanie uznania, 35 — element balustrady, 37 — Leonid, pływał na „Opty”, 38 — wanadowiec.

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać hasło, powiedzenie, które tworzą litery w kratkach oznaczonych w prawym dolnym rogu cyframi od 1 do 20:

(.....) (.....) (.....)
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15

(.....)
16 17 18 19 20

Rozwiązania (samo hasło) prosimy nadsyłać pod adresem redakcji na kartkach pocztowych z naklejonym kuponem.

BOŻENA CHMIELEWSKA

Wśród Czytelników, którzy nadesłały prawidłowe rozwiązania rozlosujemy nagrodę — 500 000 złotych.

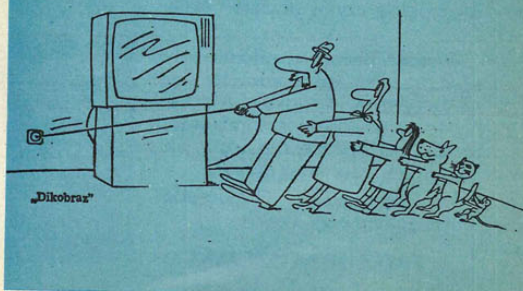
Rozwiązanie krzyżówki nr 8:

„Zawsze jedno przykrzy się”

Nagrodę wylosował Krystian Grodowski z Lubomierza (woj. jeleniogórskie).



Koncesjonowana
Agencja Ochrony
Mienia i Osób
05-200 Zielonka
ul. Przemysłowa 2
tel. 781-04-82
fax. 781-04-83



„Dikobraz”

MK
12/94
KRZYŻÓWKA